

# ŚWIAT

ZA PIĘĆ  
LAT



MARCIN B. BRIKEN

# ŚWIAT ZA PIĘĆ LAT

MARCIN B. BRIKEN

(FRAGMENT)

Wrocław

Redakcja  
Romuald Lazarowicz

Ilustracje i projekt okładki  
Krystyna Szczepaniak

Skład i łamanie  
„Lena”, Wrocław

Korekta  
Mirośława Zmysłowska

Copyright for this edition 2015 © by „Lena”

Copyright for text 2009 © by Marcin B. Brixen

**ISBN 978-83-64195-18-1 (e-book)**

Wydawnictwo „Lena”  
ul. Pasteura 15a-20  
50-367 Wrocław  
[www.wydawnictwo-lena.pl](http://www.wydawnictwo-lena.pl)

Zamówienia:  
[info@wydawnictwo-lena.pl](mailto:info@wydawnictwo-lena.pl)

# CZŁOWIEK KROKODYL

Z samego rana Łukaszek został wysłany po gazety. Niech coś robi w domu, skoro ma wakacje – zdecydował ojciec i wszyscy się z nim zgodzili, co, zważywszy na poglądy rodziny Hiobowskich, nie zdarzało się co dzień.

Łukaszek chętnie kopnął się do kiosku i wrócił z plikiem gazet. Dla taty „Krajowa”, dla mamy „Wiodący Tytuł Prasowy”, dla dziadka „Prawdziwa Ojczyzna” i „Międzynarodowy Horyzont” dla babci. No i dla siostry czasopismo dla młodzieży „Hedonka”, specjalnie na jej życzenie wydanie z dodanymi prezerwatywami z mp3.

Kiedy Łukaszek położył gazety na stole w kuchni zapytał dziadka, czy istnieją ludzie krokodyle. Dziadek odparł, że oczywiście nie ma człowieka krokodyla, tak samo jak nie ma człowieka pająka czy człowieka nietoperza i skąd on w ogóle wzięł ten pomysł.

– Z gazety – odparł Łukaszek.

– Umie czytać! – zachwyciła się dumna matka. Jej zachwyt mógł się wydawać cokolwiek chybiony, Łukaszek bowiem skończył właśnie drugą klasę podstawówki, ale jego postępy na to nie wskazywały.

– Z której gazety? – drążył dziadek. Okazało się, że chodzi o „Wiodący Tytuł Prasowy”. Rodzina spojrzała po sobie, po czym całą grupą rzuciła się do kuchni. Na pierwszej stronie jeden artykuł, tytuł wielkimi jak wół literami głosił: „Byłem Kajmanem”.

– Pani z kiosku powiedziała, że kajman to taki krokodyl – powiedział Łukaszek z podłogi w korytarzu, gdzie leżał stratowany. Ale nikt go nie słuchał. Matka bliska spazmów czytała na głos artykuł, a reszta słuchała z mieszanymi uczuciami. Poza dziadkiem. Jego przepelniała czysta nienawiść i satysfakcja.

– Szlachetny człowiek... Działacz opozycji... Grał ze służbami, aby ocalić innych... Być może był nieroztropny, gadatliwy... Tak, pieniądze brał, ale zaraz wyrzucał... Jak ktoś śmie go dziś oceniać... Niemniej jednak usuwa się w cień... Szlachetny człowiek! – łkała mama.

– A o kim mowa? – spytał głupio ojciec.

Okazało się, że chodzi o byłego naczelnego „Wiodącego Tytułu Prasowego”, Midama-Achnika. Mama otarła łzę, przewróciła pierwszą kartkę Tytułu na drugą stronę i krzyknęła triumfalnie: – Wiedziałam, że go tak nie zostawią! – i przeczytała komentarz obecnego naczelnego. – Humanitarna pomoc... Nie możemy pozwolić, aby głodował... Oczywiście, odsuwamy go od prac redakcyjnych... Będzie numerował strony w Wordzie... Wiem, przez co musi przejść, ja kiedyś też przez to przeszedłem... Na szczęście dzięki Wielce Szlachetnym Inteligentom i Sprawnym Biznesmenom udało mi się podnieść z tego upadku...

– A o kim mowa? – spytał po raz drugi ojciec, jeszcze bardziej głupio. Nic dziwnego, że złożyła Tytuł, pacnęła go nim w plecy i krzyknęła: – Jak to o kim! O Masławie-Leleszce!

# PANI REDAKTOR OD ABORCJI

Kilka dni przed końcem roku szkolnego do klasy, w której siedział znudzony Łukaszek w towarzystwie reszty uczniów i nauczycielki, weszła pani dyrektor szkoły z jeszcze jedną panią.

– To jest klasa druga a, a to pani redaktor z radia Rzępolenie-Megalomania-Fikcja – pani wicedyrektor dokonała prezentacji. – Pani redaktor przeprowadzi z wami wywiad do radia. Bądźcie więc grzeczni.

Pani wicedyrektor wyszła, a pani redaktor włączyła dyktafon i oznajmiła, że chce spytać dzieci o aborcję. Wtedy pani nauczycielka, do tej pory zadowolona, że coś się wreszcie dzieje, zaprotestowała.

– Oni są za mali na takie tematy. W ogóle nie wiedzą, co to jest!

– Dzieci, czy wiecie co to jest aborcja? – zapytała z miłym uśmiechem pani redaktor. Nagle zrobiło się cicho, jedna z dziewczynek podniosła nieśmiało rączkę i powiedziała:

– To jest skrobanka.

Wtedy Gruby Maciek, który siedział z Łukaszkim w ławce, zbladł i powiedział:

– A mój stary mówi mojej starej, że powinna była się wyskrobać. To co to znaczy?

– Chcą cię zabić! – krzyknął okularnik z trzeciej ławki.

– Nie mówili o zabiciu tylko o usunięciu ciąży – poprawiła z lekką irytacją pani redaktor przy dyktafonie. – Co sądzicie o usunięciu ciąży?

– Że chcieli zabić Grubego Maćka! – to znów okularnik z trzeciej ławki. Poblądły, roztrzęsiony Gruby Maciek odwrócił się i ryknął do niego:

– Nie jestem gruby, ty debil!

– Sam jesteś debil!

– Chyba ty! I ci śmierdzi z ryja!

– Tobie śmierdzi z ryja i masz ryj jak dupa psa! Debilu!

I się pobili.

– Niech ich pani uspokoi – powiedziała zdenerwowana pani redaktor do pani nauczycielki. Pani nauczycielka, która odwrotnie niż pani redaktor, coraz bardziej się uspokajała, powiedziała, że nic nie może zrobić. Bo obaj chłopcy mają papiery na ADHD. A siłą nie może ich rozdzielić, bo może narazić się na oskarżenie o molestowanie i pedofilię.

Pani redaktor uspokoiła więc chłopców sama i wyjaśniła, że nikt nie chciał zabić Gru... Maćka, tylko chodziło o usunięcie ciąży. Wtedy do akcji wkroczył Łukaszek.

– Ale ta ciąża to byłby Maciek, prawda?

– Hiobowski, siadaj! – zareagowała czujnie nauczycielka, znając możliwości swojego ucznia. Ale pani redaktor dała się zwieść niewinnemu wyglądowi,

nie wiedząc, że jej przeciwnik ma za sobą wieloletnie doświadczenie w bojach słownych wyniesione z domu.

– To nie byłby Maciek – odparła słodko pani redaktor.

– Ale przecież ciąża to dziecko w brzuchu.

– Nie dziecko, tylko płód.

– Ale ten płód to byłby Maciek, prawda?

Pani redaktor zamarta i odparła ostrożnie:

– To niezupełnie tak, bo nawet by nie wiedział, że go usunięto.

– To znaczy...? – upewniał się Gruby Maciek.

– To znaczy, że w ogóle by cię nie było, a twoje flaki zjadłyby robaki! – przypomniał się okularnik. I znowu pobił się z Maćkiem.

Pani redaktor znów ich uspokoiła i zmęczonym głosem zapytała, czy uważają, że kobieta ma prawo do aborcji.

– No więc jeśli chodzi o Maćka... – zaczęła dziewczynka, która odezwała się jako pierwsza, ale pani redaktor jej przerwała i zaczęła krzyczeć, że mają się do cholery odczepić do Maćka, bo ona mówi o dziecku.

– O jakim dziecku? – spytał kompletnie zdumiony Maciek.

– O każdym dziecku!

– O każdym...? – i klasa druga a spojrzała po sobie przestraszona. Wtedy Łukaszek palnął dłońmi w ławkę, wstał i powiedział, że aborcja jest do dupy. Pani redaktor opadła szczęką i zapytała dlaczego.

– No jak to dlaczego? No jak to dlaczego? – zdenerwował się Łukaszek.

– Kiedyś poszedłem do Maćka pożyczyć płytę z Fifą i nie było go w domu! I nie pożyczyłem tej Fify! A jakby go w ogóle nie było, to nigdy bym nic nie pożyczył! Poza tym z kim grałbym w nogę?! Poza tym jest nas tylko siedmiu chłopaków w klasie! I tak trudno gra się w nogę z drugą be, bo ich jest więcej, a jak ktoś od nich gra u nas, żeby było po równo, to oszukują i nie grają dobrze przeciwko swoim! A jakby było nas mniej, to już w ogóle byśmy nie mogli grać! I kto stałby na bramce?! A laski... – tu Łukaszek nabrał tchu, rozejrzał się po klasie, dostrzegł tu i ówdzie w żeńskim oku łezkę i wspaniałomyślnie pozwolił dziewczynom istnieć. Odwrócił się z powrotem do dyktafonu i kontynuował: – A laski, co prawda, tylko płaczą i do niczego się nie nadają... prawie! Ale gdyby ich nie było, to my, chłopacy, ciągle byśmy chodzili do odpowiedzi! Więc jak można tak głupio chcieć, żeby kogoś nie było?!

Klasa była w szoku, pani nauczycielka była wzruszona, ale to jeszcze nie był koniec. Ostatni akord tej sceny zagrał Gruby Maciek. Nachylił się wprost do dyktafonu, odchrząknął i napiętym, przesadnie grubym głosem wydudnił:

– To pani stara powinna była się wyskrobać!

No i albo się źle nagrało, albo co, w każdym razie nikt tego wywiadu w radiu nie słyszał. Ale kto by się tam przejmował. Łukaszek i Gruby Maciek najpierw sprali okularnika, potem się pogodzili, a potem zegrali mecz z drugą be. Okularnik stał na bramce. Wygrali 20:17.

# WYPRACOWANIE

Podczas spotkania z panią redaktor pani nauczycielka próbowała powstrzymać Łukaszkę od wypowiadania się, bo znała jego możliwości. Poznała je na początku czerwca, w związku z pewnym wypracowaniem.

Łukaszek snuł się po domu rozdrażniony i zły. Okazało się, że ma do napisania wypracowanie o jakimś zwierzątku. Tata powiedział, że musi sobie dać radę sam, bo inaczej nie sprosta wyzwaniom stawianym przez życie. Mama wyzwała tatę od liberałów i bezlitosnych miłośników zimnego chowu i zaofiarowała się Łukaszce z pomocą. Gdy zasiedli przed komputerem okazało się, że każde z nich zupełnie inaczej rozumie słowo „pomoc”.

– Ty napisz – zaproponował Łukaszek. Mama zaproponowała delikatnie – aby nie kaleczyć psychiki syna, a potem zaproponowała wybór tematu. Rodzina Hiobowskich nie trzymała żadnego zwierzątka w domu, więc nie było to łatwe.

– Może pies sąsiada? – zasugerowała mama.

– Przecież Czester to peda! – zaproponował Łukaszek, no i się zaczęło. Że Czester nie jest peda!, tylko ma odmienną orientację seksualną, co jest takie fascynujące. I że Łukaszek dyskryminuje zwierzęta pod względem seksualnym.

– No to co mam robić? – wystraszył się Łukaszek. I mama mu wytłumaczyła, że musi być tolerancyjny i właśnie dlatego wypracowanie będzie o Czesterze. Aby Łukaszkę i inne dzieci uczyć tolerancji. Łukaszek westchnął i zabrali się z mamą do pisania.

Następnego dnia pani nauczycielka z ogromnym zdumieniem przeglądała pracę Łukaszkę. Łukaszek stał w ławce i czerwony z zakłopotania odpowiadał.

– Co to znaczy: „Czester z dumą obnosi po osiedlu swoją odmienną orientację seksualną”?

Łukaszek pomyślał, że przecież nie powie, że to pisała mu mama i milczał.

– Odmienna orientacja seksualna? Czy to jest to, o czym myślę? O co tu chodzi? – pytała dalej pani nauczycielka. Łukaszek pomyślał: „Przecież nie powiem peda!, tylko jakoś delikatniej” i wypalił:

– No... rucha samce.

Klasa buchnęła śmiechem, a okularnik z trzeciej ławki darł się:

– Peda! Pies-peda!

– Sam jesteś peda! – krzyknął Łukaszek i się pobili.

– Spokój! – krzyczała pani nauczycielka. – Proszę o spokój! Bo was sfilmuję komórką i wrzucę na Youtube! Hiobowski, co ty tu napisałeś? „Toleruję Czestera, chociaż go nie lubię, bo ostatnio wdepnąłem w gówno, które zrobił na Afroamerykaninie”?

– Nie wiem – Łukaszek puścił okularnika, podszedł do biurka pani i stuknął palcem w słowo „Afroamerykaninie”. – Widocznie komputer sam zmienił. Ja napisałem „asfalcie”.

Do domu Łukaszek przyszedł zły. Kiedy mama zapytała o wypracowanie, rzucił w nią zeszytem. Mama przekartkowała zeszyt, znalazła wypracowanie

i zauważyła ze zgrozą, że dostał „F”. Pani nauczycielka napisała: „Dziecko nie rozumiało tematu. Brak opisu zewnętrznego i cech zwierzątka. Ze względu na użycie trudnego słownictwa podejrzewam pomoc rodzica 1 lub rodzica 2”.

– To twoja wina! – krzyczał Łukaszek. Gryzł matkę, kopał i szczypał. – Pani czytała przy wszystkich i ciągle mnie o coś pytała! Wszyscy się śmiali! Dostałem F! Ty głupia...

– Jak ty się odnosisz do matki! – krzyknął ojciec i zamachnął się ręką w stronę Łukaszkowego zadka.

– Nie! – matka zastoniła syna własnym ciałem. – Nie wolno bić dziecka, ty jaskiniowy ciemnogrodzie! Łukasz, nie martw się panią nauczycielką! Ja zadzwonię do kuratorium! Jak ona śmiała... Przy wszystkich... Naruszenie danych osobowych... Łukasz, wykrzycz się, wyrzuć to z siebie! Jeśli chcesz, to możesz nawet uderzyć mamusię!

Łukaszka nie trzeba była dwa razy zachęcać i pociągnął mamie z bańki. Mama padła na plecy ze wstrząśnieniem mózgu, tata zaczął tamować jej krwotok z nosa. Babcia trzymała Łukaszka, ale nie mogła go utrzymać, bo nadal gryzł i kopał. Przekazała go więc w ręce dziadka, który go unieruchomił jednym chwytem i szepnął:

– Spróbuj mnie ugryźć, a tak cię zleję, że popamiętasz...

Ciekawa rzecz: Łukaszek dziadka nie ugryzł ani nie kopnął.



# WYCIECZKA DO TARCZY

Ostatnia wycieczka w roku szkolnym odbyła się pod koniec maja, kiedy to cała szkoła miała wolne z okazji Zielonych Świątek. Łukaszek jechał chętnie, bo jechał też Gruby Maciek. Co prawda, rodzice Maćka byli ateistami, ale w święta kościelne nie chodzili jednak do pracy. Maćkowi w każdym razie pozwolili jechać. Tak więc obaj chłopcy zajęli obok siebie miejsce w autokarze, a autokar pomknął w rejon Pojezierza Drawskiego. Tam, na parkingu stało już kilka autobusów, a wycieczki szykowały się do zwiedzania imponującego, żelbetowego budynku. Autokar wiozący Łukaszkę zaparkował zgrabnie koło autokaru Dżihad Tours i dziatwa wysypała się na plac.

– Dzieci, proszę do mnie! – zakrzyknęła pani. – Dzisiaj kontynuujemy nasze wycieczki szlakiem Sidek-Rakorskim.

– Mój brat jechał kiedyś szlakiem Piastowskim – zauważyła dziewczynka, która zawsze odzywała się jako pierwsza.

– Tak, kiedyś były wycieczki szlakiem Piastowskim. Ale MEN doszło do wniosku, że pokazywanie ośmiolatkom obeznanym z internetem chałup krytych strzechą i ruin wiatraków nie jest na poziomie dwudziestego pierwszego wieku. Czy ktoś z was potrafi powiedzieć, co to jest MEN?

– Men to końcówka od Strongmen! Pudzian!!! – rozdarł się Gruby Maciek i zademonstrował biceps.

– MEN to Ministerstwo Edukacji Narodowej – poinformowała drugą a pani nauczycielka i kontynuowała: – W związku z tym jeździmy teraz szlakiem Rakorskim, podążając trasą instalacji obronnych naszej ojczyzny, załatwionych przez ministra Sidostawa-Rakorskiego. W ziemie gdzie byliśmy? Pamiętacie?

– Na lotnisku w Krzesinach – odezwał się okularnik, który siedzi zazwyczaj w trzeciej ławce.

– I co tam najbardziej się wam podobało? F-16? Hangary? Rakiety?

– Mój tata mówi, że najfajniejsi są Amerykanie – mówił dalej okularnik. – Tata ma sklep monopolowy niedaleko lotniska i dużo u nas wody kupują. I fajek. Mają niby te amerykańskie przysyłane z Ameryki, ale wolą nasze. Tata mówi, że łatwo ich wydymać na cenach, bo nie umią przeliczać dolarów na ojro. I jeden z nich to zaczął chodzić z moją siorą i ją posuwał, i zrobił jej dziecko, i teraz będziemy mieć jeszcze alimen...

– Dziękuję bardzo, wystarczy! – pani przerwała tę jakże wulgarną i niestosowną wypowiedź. – Dziś zwiedzamy element tarczy rakietowej, bardzo proszę uważać, bo może być z tego kartkówka! – i już chciała zaprowadzić dzieci do wnętrza budynku otoczonego zasiekami i tablicami z zakazem fotografowania.

Nie zdążyła. Dziewczynka, która odezwała się pierwsza pociągnęła ją za rękaw i oznajmiła:

– Ja chcę kupę.

Nastąpiła więc niespodziewana, krótka przerwa, którą chłopcy próbowali wykorzystać na zawarcie bliższej znajomości z pasażerami autokaru Dżihad

Tours. Niestety, Arabowie byli mrukliwi, jacyś tacy wystraszeni i objuczeni olbrzymimi plecakami.

Wreszcie pojawił się pan przewodnik i wszystkie wycieczki mogły wejść do środka. Pan przewodnik prowadził po salach i korytarzach, opowiadając barwnie o możliwościach wykorzystania potencjału tarczy antyrakietowej.

– Jak myślisz, będzie kartkówka? – Gruby Maciek szepnął Łukaszowi na ucho.

– Chyba nie.

– A dlaczego?

– Bo jak pani to potem sprawdzi? Przecież ona w ogóle nie słucha pana przewodnika, tylko krzyczy na nas.

Faktycznie, druga a okazała się wyjątkowo niesforna. Dzieciaki biegały, krzyczały, szarpały za instalacje wystające ze ścian, próbowały naciskać guziki na pulpitych, włożyły na wózki elektryczne. I jak Łukaszek trafnie zauważył, pani chyba nie potrafiłaby powtórzyć niczego z tego, co mówił pan przewodnik.

– Jesteście najgorszą wycieczką, jaka tu dzisiaj jest! – zgromiła ich pani nauczycielka. Nie miała jednak racji. Najgorzej zachowywała się wycieczka Arabów, którzy przyjechali autokarem Dżihad Tours. Ciągłe zostawali z tyłu, wchodzili w różne boczne korytarze, usiłowali robić zdjęcia, no i wszędzie zostawiali swoje plecaki.

Kiedy zwiedzanie dobiegło końca, jeden z Arabów zbliżył się do pana przewodnika i zapytał, gdzie są te rakiety, co to mają strącać inne rakiety.

– No coś pan, tu ich oczywiście nie ma! – roześmiał się pan przewodnik. Arab zrobił wielkie oczy jak Fona-Antyga, a pan przewodnik musiał mu wytłumaczyć to, co dobrze wiedzieli nawet Łukaszek i Gruby Maciek. Że nie ma w Polsce żadnej tarczy antyrakietowej, a te budynki, co są – to są to niedokończone budowle, w których tarcza mogłaby być, gdyby była w Polsce. Bo tarcza tak naprawdę jest na Ukrainie. Rakiety są na stadionach, których nie zdążono wybudować na Euro 2012, które odbyło się we Włoszech. Arab wysłuchał wszystkiego do końca, po czym zrobił szybki obrót i tak prędko pokłusował do autokaru, zgarniając po drodze swoich towarzyszy, że o mało sandałów nie pogubił.

– Ej, panie! Zapomniał pan plecak! – krzyknął pan przewodnik. Arab wrócił po plecak i zapytał jeszcze, gdzie ta Ukraina.

– A, tam gdzieś – pan przewodnik machnął ręką w kierunku wschodnim. Autokar Dżihad Tours wyskoczył z parkingu i z piskiem opon wziął zakręt, wpadając na szosę do Wałcza.

A kartkówki faktycznie nie było. Bo był uroczysty apel z okazji dwudziestej pierwszej rocznicy obalenia rządu Olna-Jaszewskiego.

# TATA ŁUKASZKA NA TROPIE AGENTA CZĘŚĆ 1

Wieczorem cała rodzina Hiobowskich oglądała zgodnie film o przygodach Jamesa Bonda. Kiedy się skończył, cała rodzina westchnęła. Dziadek, bo przypomniał sobie stare filmy z Bondem, kiedy dokładał komuchom. Babcia, bo przypomniała sobie stare filmy z Bondem, gdzie tak wspaniale walczyli z nim agenci radzieccy. Ojciec, bo przypomniał sobie, jak się kiedyś wkradł do kina na filmy z Bondem. Matka, bo Bond był taki tolerancyjny. Siostra, bo chłopak Bonda miał taką śliczną, małą torebkę. A Łukaszek nie westchnął, tylko podłubał w nosie, pstryknął smarkiem w sufit i powiedział:

– Ten film to bzdura.

– Łukasz, mówisz jak prawdziwy krytyk filmowy – zachwyciła się mama, która marzyła, że może jej syn wyrośnie na jakiegoś kontestatora i będzie pisywał do „Wiodącego Tytułu Prasowego”.

– Dlaczego bzdura? – zainteresował się tata.

– Bo prawdziwy agent tak nie wygląda.

– A jak?

– Jak stary Waldka.

– Którego Waldka?

– No tego, co mieszka w bloku koło przystanku.

– Ach, już wiem, o kogo chodzi – ożywił się tata. – Ten tata Waldka pracował przecież kiedyś ze mną. Ale nie wiedziałem, że zaczął robić w nieruchomościach.

– Jego rodzina też nie wiedziała – opowiadał dalej Łukaszek. – Po prostu pewnego dnia stary Waldka przyniósł teczkę z papierami, a jego stara zajrzała w te papiery i krzyknęła „O Jezu, byłeś agentem!”.

W domu zapanowała martwa cisza.

– Waldek próbował zobaczyć co to za papiery, ale stary je szybko zabrał. Zobaczył tylko, że na okładce pisze „TW”. I spytał starego, co to znaczy.

– I co na to jego ojciec? – spytał tata Łukaszka.

– Że to skrót od „Tata Waldka”.

# NIEDOSZLI MORDERCY

Cała rodzina Hiobowskich oglądała wiadomości w telewizji. Wiadomością dnia była Tylicja-Asiąc, a konkretnie – proces, który wytoczyła o nazwanie jej w prasie „niedoszlą morderczynią”. Proces ciągnął się już pięć lat i akurat miała zeznawać córka Tylicji-Asiąc – Julia. Rodzina siedziała na kanapie przed telewizorem, a z uchylonych drzwi wystawały głowy Łukasza i Grubego Maćka, który akurat przyszedł coś pożyczyć.

– Kto to jest morderczyni? – zapytał Gruby Maciek.

– To ktoś, kto zabił – wyjaśnił tata Łukasza.

– A niedoszła morderczyni?

– To ktoś, kto nie zabił.

Chłopcy popatrzyli na siebie wystraszeni, a Gruby Maciek zaczął nawet płakać.

– To my jesteśmy niedoszli mordercy! – wykrztusił Łuszek.

– Dlaczego???

– No bo nie zabiliśmy!

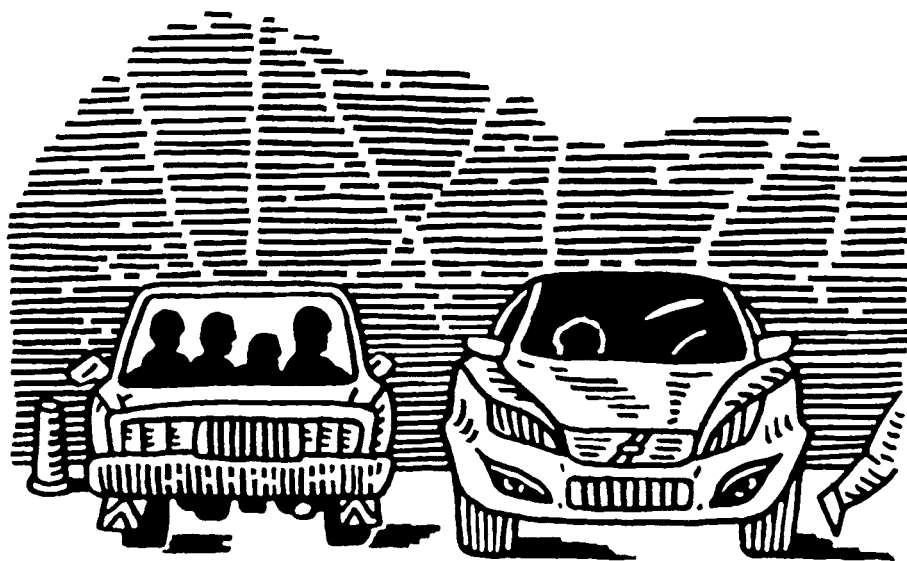
– Ależ nie! Zaraz wam to wytłumaczę! – powiedzieli jednocześnie tata, mama, babcia i dziadek. I jak zaczęli tłumaczyć, to się pokłócili między sobą.

# TATA ŁUKASZKA NA TROPIE AGENTA CZĘŚĆ 2

Minęło kilka dni, podobnych do siebie niczym odcinki „Mody na sukces”. Tata Łukaszka chodził zamyślony i szeptał do siebie: „Tata Waldka agentem? Niemożliwe...”. Też dostał jakąś teczkę z papierami, ale Łukaszce nie udało się nic podejrzeć. Stwierdził jedynie, że na okładce nie ma ani TW (tata Waldka), ani TŁ (tata Łukaszka). Tata Łukaszka przeglądał te papiery późnymi wieczorami w kuchni i za każdy razem, kiedy skończył, był strasznie zły.

Cała sprawa może na tym by się skończyła, gdyby nie przypadek. Otóż następnego niedzieli cała rodzina udała się wczesnym rankiem do marketu. Dziadek, aby udać się na mszę do kaplicy im. Polskich Męczenników (powstała w miejscu dyskontu obuwniczego). Babcia chciała kupić trochę wędlin (szynkę „Jak za Bieruta” i kiełbasę „Jak za Bieruta”). Ojciec chciał iść do zoologicznego powspominać czasy, gdy był kawalerem i miał akwarium. Matka chciała iść na spotkanie z autorką feministycznych bajek dla dzieci pod tytułem „Wesołe jajniki”. Siostra wreszcie chciała kupić najnowszy krzyk mody: spodnie bojówki w kolorze moro z cekinami, różowymi wstawkami, obszyte białym futerkiem (takie jak ma Boba, jurorka programu „Jak oni wkręcają żarówki”).

Rodzina Hiobowskich wjechała na parking swoją nową ładą (produkcja FSO Gazprom Awtomobil Żerań na licencji Dacii Logan MCV). I traf chciał, że



niedaleko zaparkowało nowiutkie volvo. Wysiadł z niego tata Waldka i poszedł w stronę marketu.

– To świnią – syknął tata i ścisnął mocniej kierownicę. – Donosił na mnie i dobrze na tym wyszedł. Widziałem papiery. A mi złamał karierę.

– Znaczący: kablował? – upewnił się Łukaszek i popadł w zamyślenie.

– Dobrze, że złamał tylko karierę, znamy takich, co to cała rodzina wiadomego pochodzenia, a on nagle zmienia nazwisko, żeby się odciąć od tej rodziny, co to szlify oficerskie zdobywała, paznokcie w kazamatkach wyry...!  
– zapienił się dziadek, ale przerwała mu mama:

– Niech ojciec da spokój tym swoim antysemityzmom! To na pewno biedny człowiek, którego złamano, odbierając mu paszport!

– Bzdura! – zirykowała się babcia. – Nikt nikogo nie łamał, przecież tam też pracowali zwykli ludzie, tacy jak my, urzędnicy! Wy wierzycie tym papierom, a oni je przecież fałszowali na masową skalę, bo im więcej mieli agentów, tym większe mieli premie!

– Nudni jesteście z tą waszą historią – odezwała się siostra Łukaszka. – Co to kogo obchodzi, lustracja, agenci? Było, minęło. Czy od tego kozaczki w butikach będą tańsze? Spójrzcie na siebie, jak to dzieli Polaków!

– Słusznie, córeczko, wybaczymy im – wzruszyła się mama.

– Słusznie, wnuczko, wy, młodzi, powinniście wybrać przyszłość – poklepała ją po ręce babcia.

– Aleś ty głupia, wszystko trzeba ci tłumaczyć – ofuknął ją Łukaszek, co wyglądało dość zabawnie, bo siostra była dwa razy od niego starsza. – Przecież gdyby stary Waldka nie kablował na naszego, to my byśmy jeździli tym volvo!

Siostra Łukaszka otworzyła usta, popatrzyła na volvo, potem na ich samochód, jeszcze raz i jeszcze raz. A potem zamknęła usta i powiedziała:

– To świnią, jak on mógł ci złamać karierę!

# AKWIZYTOR

Łukaszek z rodzicami szedł deptakiem, wśród tłumu innych mieszkańców miasta, którzy w to sobotnie, słoneczne przedpołudnie ruszyli do centrum na zakupy. W gwar głosów i odgłosów wdarło się nagle:

– Garnki, patelnie, jedyne takie, najlepsze i co tylko chcecie!

Mama Łukaszka, choć z rozumu feministka, to z serca jednak kobieta, wiedzioma pierwotnym, wstrętne atawistycznym instynktem przystanęła i się zapatrzyła.

Stało sobie pod ścianą jednej z kamienic stoisko, stół z garnkami i patelniami, dalej kartony z gotowym do zakupu towarem, a wśród tego towaru uwijał się sympatyczny, młody człowiek. Chociaż może nie tak do końca. Na pierwszy rzut oka – sympatyczny, ale usta jakoś tak krzywo ściągnięte, kwadratowe okulary rzucały groźne błyski, a grzywka, potrząsana z egzaltacją, falowała niepokojąco. Młody też taki nie był, na trzydziestkę za stary, a czterdziestki jeszcze nie miał. I towar też był taki jak sprzedawca – na pierwszy rzut oka taki, jak zachwalano, ale po bliższym przyjrzeniu się ujawniał swoje wady. A to tandetna rączka, a to porysowany, a to kształt nieporęczny.

Akwizytorowi to jednak nie przeszkadzało. Miękkim ruchem zapraszał przechodniów, delikatnym głosem zapraszał do zakupu.

– Najlepsza klasa, super teflon, nic się nie przypala, polecam. Inne firmy produkujące ten towar zawiązały spisek i nigdzie nie możemy państwa poinformować o naszych wyrobach. Nigdzie! W żadnej gazecie, że o telewizji nie wspomnę! To tutaj to jedyny sposób! A ja gwarantuję państwu, że, używając naszych wyrobów, nic się nie przypali! – po czym podniósł patelnię do góry, wskazał ją teatralnym gestem i powiedział żartobliwie:

– Nikt przez tę patelnię posiłku pozbawiony nie będzie!

Wtedy w mamę Łukaszka coś wstąpiło, rzuciła się na sprzedawcę i pobiła go torebką.

– Ty kłamco! To nie jest żaden teflon! Zawsze można coś przypalić, mój mąż potrafi przypalić nawet wodę na herbatę! Ty kłamco, kłamco, kłamco!

Łukaszek i tata ledwo ją odciągnęli.

– Ależ kochanie – mitygował ją tata. – Jak możesz się tak zachowywać publicznie?

– Jak? Jak? Jak można tak publicznie łgać? Ja ich nie cierpię! Tych akwizytorów, sprzedawców, wciskiwaczy chłamu! A tego to już w szczególności!

– Znasz go?

– Nie poznałeś go? – mama Łukaszka była autentycznie zdumiona. – Przecież to był Ziogniew-Zbibro!

# PROSTE PYTANIE

Łukaszek i Gruby Maciek jechali samochodem taty Grubego Maćka. Obaj chłopcy siedzieli cicho, ale po jakimś czasie Łukaszek zaczął głośno wciągać powietrze nosem, obrócił się i zapytał Grubego Maćka głośnym szeptem:

– Te, dlaczego w waszym samochodzie śmierdzi sikami?

– Nie wiem – również głośnym szeptem odparł Gruby Maciek. – Zapytaj taty.

– Psze pana! Dlaczego w samochodzie śmierdzi sikami?!

Trzeba oddać tacie Grubego Maćka, że nie stracił panowania nad kierownicą. Nie można jednak powiedzieć, że pozostał spokojny.

– No jak to, to wy nie wiecie, na czym od paru lat jeżdżą samochody?

– Na benzynie – odparł niepewnie Gruby Maciek.

– Benzyny to tam jest najmniej. Przecież leją tam od cholery różnych dodatków. Jest dwa procent bioetanolu, bo rolnicy sobie wywalczyli zbyt na rzepak! Mamy oczywiście barwnik, czyli marker, ktoś również na tym zarabia! – tata Maćka w miarę jak mówił, coraz bardziej podnosił głos. – Gorzelnie też muszą mieć zbyt, to lejemy jeszcze 5% spirytusu. A co, stać nas! I tak oto mamy paliwo po dwa ojro! Cholera człowieka bierze, bo przecież zarabiamy jedną czwartą tego, co Niemcy, a ceny są takie same!

– Psze pana, ale dlaczego w samochodzie śmierdzi sikami?

– No bo jest jeszcze kwestia ofiar wypadków! Próbowali wprowadzić podatek Regniewa-Zbiligi, żeby mieć kasę na leczenie poszkodowanych – nie udało się, próbowali wrzucić to w OC – nie udało się. No to nasz kochany rząd wymyślił coś genialnego. Skupują ze szpitali mocznik i każą go dolewać do paliwa!! Normalnie szok!!

– Co to jest mocznik? – zapytał Gruby Maciek.

– To jest... E... No... To są siki.

– Psze pana – Łukaszek był trochę wystraszony przemową taty Grubego Maćka. – Ale dlaczego w samochodzie śmierdzi sikami?

– A, to... No... Widocznie jakaś rurka jest nieuszczelna...



# TATA ŁUKASZKA NA TROPIE AGENTA CZĘŚĆ 3, OSTATNIA

Po tygodniu dramatycznych zmagani tata Łukaszka zdecydował się na konfrontację z tatą Waldka. Próbował zostawić to tak, jak jest, ale coś nie dawało mu spokoju. Może sumienie, może chęć zemsty, a może po prostu ciekawość – jak żyje ten, który na niego donosił, czy ma jakąś refleksję na ten temat, czy opłaciło mu się to, co robił.

– Jadę z tobą – zadecydował Łukaszek.

– O – wzruszył się tata. – Chcesz zobaczyć...

– Chcę ci pomóc – rzekł twardo jego syn. – Pewno nie umiesz się bić, więc będę ci podpowiadał.

– Nie będzie żadnej bijatyki! – mama postanowiła, że też jedzie. – Ktoś musi powstrzymać ten zwierzęcy antykomunizm!

I pojechali. Waldek z rodzicami mieszkał w jednym z najnowszych i najdroższych apartamentowców – Valonki Towers. Zaparkowali jednak obok, na starym osiedlu z wielkiej płyty, wybudowanym w latach siedemdziesiątych minionego wieku. Przyczyna była bardzo prozaiczna. Valonki Towers, dwa bliźniacze wieżowce z betonu i szkła, o elewacjach udekorowanych fantazyjnie słomą, zajmowały prawie całą, wysoko opłotowaną działkę. Nie było parkingów, drzew, placów zabaw, tylko alejki prowadzące od ogrodzenia do drzwi bloku.

Wjechali windą, drzwi otworzył tata Waldka. Tata Łukaszka przywitał się krótko, weszli do środka, rzucili przelotne spojrzenie na przestronne, bogato urządzone mieszkanie. Przeszli do pokoju, w którym Waldek oglądał dobranockę z serii Krwawe Kreskówki. Tata Łukaszka położył na stole papiery, które studiował wieczorami w kuchni i zapytał:

– Wiesz co to jest?

– Nie – tata Waldka grał twardo.

– To donosy na mnie składane przez pewnego TW.

– To nie ja – tata Waldka próbował dalej.

– „W grudniu razem z nim pojechałem w delegację do Gdańska”... – odczytał tata Łukaszka z jakiejś kartki. – Pojechaliśmy wtedy we dwóch, tylko ty i ja.

– Zostaw, co to da, to rozdrapywanie ran? – załamała ręce mama Łukaszka.

– Wtedy wszyscy donosili, chcesz znienawidzić cały kraj?

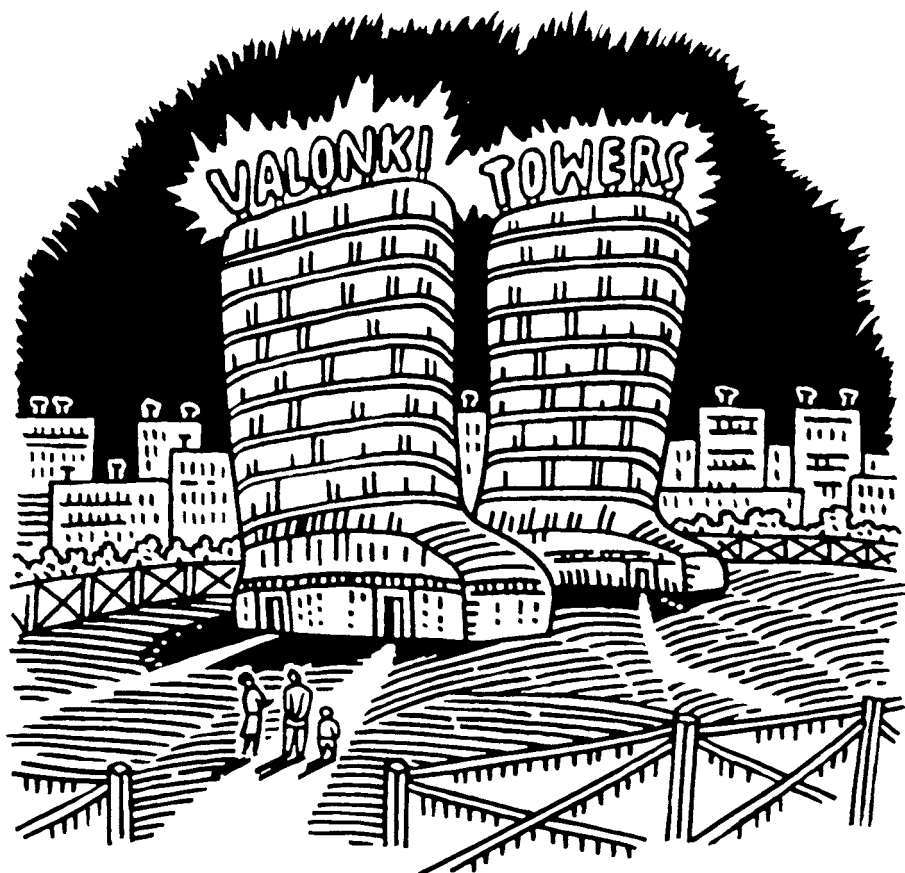
– Ja nie donosiłem! – krzyknął tata Łukaszka.

– Ja też nie donosiłem! – krzyknął tata Waldka.

– To jest twoje zobowiązanie do współpracy – tata Łukaszka wyjął z teczki jakiś papier.

– Ja tylko z nimi trochę rozmawiałem – zaczął pękać tata Waldka. – Ni komu krzywdy nie zrobiłem!

– Jak to nie? Ty sobie pojechałeś na stypendium za granicę, a ja nie! Ty dostałeś mieszkanie służbowe, a ja nie! Ciebie awansowali, a mnie nie!



- To jest krzywda?
- Tak, krzywda! niesprawiedliwość!
- Zmusili mnie!
- Ciekawe czym. Paszportu ci nie chcieli dać?
- Nie, zabrali mi prawo jazdy. Po pijaku jechałem, a bez prawa jazdy...  
Żona daleko, dziecko małe... Złamali mnie...
- W pokoju zrobiło się cicho – to Waldek wyłączył telewizor.
- Donosiłeś na mnie za prawo jazdy? – tata Łukaszka był zły. – Nie kłam!  
Patrz, tu są pokwitowania wypłat!
- Tata, ty kablowałeś? – spytał wstrząśnięty Waldek.
- Kablowałem i jeszcze brałem za to kasę! – wyjaśnił mu tata Łukaszka.
- Jak możesz mówić takie rzeczy dziecku! – oburzyła się mama Łukaszka.
- Nie donosiłby, to bym nie mówił – zareplikował tata Łukaszka.
- To wszystko sfalszowane! – spróbował w inny sposób tata Waldka.
- Akurat wszystko? Te z dawnych lat też? Wszystkie dokumenty, co do jednego?

- Ta...a...k... – wybąkał tata Waldka.
- Tata, kiedyś, jak skłamałem, to dałeś mi lanie i powiedziałeś, żebym więcej nie kłamał – powiedział cicho Waldek. Tata Waldka milczał.
- No powiedz mi tak prosto w oczy, że to wszystko fałszerstwo. Wszystkie kartki. Że nie donosiłeś. Że nie brałeś pieniędzy – powiedział tata Łukaszka.
- Zaprzecz. Powiedz coś.
- Tata Waldka milczał.
- No i widzisz do czego doprowadziłeś? – powiedziała mam Łukaszka do taty Łukaszka. – Lepiej ci? Zniszczyłeś temu człowiekowi szczęście domowe i w imię czego? Co zyskałeś?
- Teraz tata Łukaszka milczał.
- Łukaszk, pożegnaj się z tatą Waldka – nalegała mama, ale Łukaszek jakoś nie chciał. Spojrzał spode łba i wycofał się w stronę drzwi.
- Nie podaję ręki kablarzom – wycedził. Zapanowała konsternacja.
- Mój stary nie jest kablarzem – Waldek był cały czerwony na twarzy i wyglądał, jakby miał się rozpląkać.
- Jak to nie jest, jak jest – logika Łukaszka była nieubłagana. – Przecież kablował. Jest kablarzem i świnią, bo jeszcze kłamie i się wypiera! – teraz tata Waldka zrobił się czerwony i wyglądał, jakby miał się rozpląkać.
- Ależ Łukaszk! – strofowała go mama. – Przecież przeprosił...
- Nie przeprosił! – upierał się Łukaszek. – Kablował, kłamał i nie przeprosił! U nas w szkole to dostałby po ryju i nikt nie chciałby z nim siedzieć w ławce! I oczywiście nikt nie grałby z nim w nogę!
- Waldkowi jest przykro – próbowała dalej mama.
- Sorry, ale to nie Waldek kablował, tylko jego stary – Łukaszek był jak natchniony. – Jak siora tego okularnika z trzeciej ławki kablowała nauczycielce, to czy on dostał bęcki albo nie chcieliśmy grać z nim w nogę?
- Bęcki dostał – zabuczał cicho Waldek.
- Dostał, ale za coś innego. A w nogę z nim graliśmy?
- Graliśmy.
- No. Ale wy – Łukaszek wskazał dorosłych palcem – zróbcie jak chcecie.
- Tata Łukaszka dziwnie milczał i oglądał uparcie swoje buty. Wreszcie odezwał się:
- Zazdroszczę wam, chłopczy.
- Ja też – ledwo, ledwo słyszalnie powiedział tata Waldka.

# NASZE NAZWISKO JEST W ŚLEDZTWIE PALIWOWYM!

Wakacje. Łukaszek, wysłany do kiosku po gazety, przyszedł później niż zwykle, bo zmarudził trochę na dworze.

– Co tam na podwórku, młody człowieku? – zapytał dziadek.

– Mówią o nas – powiedział zadowolony Łukaszek.

– Jak to o nas? – zainteresowała się cała rodzina.

– Pan kioskarz mówił, że nasze nazwisko jest w śledztwie paliwowym!

Wszyscy jęknęli ze zgrozy i rzucili się wertować prasę. Po paru minutach mama wydała okrzyk triumfu – w „Wiodącym Tytule Prasowym” był wielki artykuł o mafii paliwowej pod tytułem: „W śledztwie dotyczącym mafii paliwowej przewija się nazwisko Wojtyła i Jan Paweł II”. Wszyscy przejrzeni pobieżnie artykuł. Faktycznie, jeden z podejrzanych był kiedyś w Watykanie na audyencji u Jana Pawła II. Faktycznie, babcia jednego z aresztowanych (zmarła w Wenezueli w latach sześćdziesiątych na tyfus) nazywała się Wojtyła. Ale Hiobowski?

– Jest! – krzyknął dziadek. „Przez dwa tygodnie biuro firm Hmdlcmslsmvr znajdowało się w budynku przy ulicy X, był to jeden pokój sąsiadujący z pokojem niejakiego Hiobowskiego, zatrudnionego w firmie Y”.

Zapadła cisza. Wszedł tata Łukaszką, pokazano mu artykuł.

– Mafia. Nasze nazwisko jest zhańbione na wieki – jęknął dziadek.

– A tam, nie ma dowodów – rzekła chytrze babcia.

– Jesteśmy w „Wiodącym Tytule Prasowym”... – mamie się załamał głos, poczerwieniła na twarzy, zadrżały jej nogi i opadła na krzesło, ciężko oddychając, a na jej twarzy malował się szeroki uśmiech.

– Ale ja tej firmy wcale nie kojarzę... – powiedział tata Łukaszką i usłyszał, że to w ogóle nie jest istotne.

# INSTRUKCJA

Łukaszek, nawoływany z okna przez babcię, raczył wreszcie przyjść na obiad. Zupełnie jadał właściwie na stojąco, widać było, że chce znowu iść na podwórko.

– Nigdzie nie pójdziesz – powiedziała mama.

– Ale mamo – zaprotestował niewyraźnie Łukaszek, połykając łyk zupy (pomidorowa Moskowskaja z paczki, dawniej Knorr). Wyjął z tylnej kieszeni spodni bardzo wymiętą kartkę papieru i zaczął z niej czytać:

– „Minister zdrowia Tunald-Dosk w rządzie Schegorza-Grzetyny informuje o katastrofalnym stanie zdrowia dzieci w szkołach podstawowych, za co winę ponosi PiS. Dzieci powinny mieć więcej ruchu, sportu”.

Rodzinie mowę odjęło. Najszybciej pozbierała się mama.

– Co to jest? Co ty mi tu za propagandę uprawiasz? Łukasz, zaraz daj mi tę kartkę!

Na kartce było kilka podobnych w wymowie cytatów. Tytuł: „Instrukcja wyjścia na podwórko”.

– Gruby Maciek nam to spisał – przyznał się Łukaszek. – Mówił, że u niego w domu działa super.

– Instrukcje! – prychnął dziadek. – Kiedyś to się kierowano honorem!

– I wyginięto w szarżach na czołgi – dodała zgryźliwie babcia. – Co złego jest w dobrych instrukcjach? My nie powinniśmy wstydzić się dobrych wzorów. I dyscyplina wtedy jest!

– Instrukcje to może za mocno powiedziane, ale głos jakiegoś autorytetu wytyczający kierunek jest zawsze mile widziany – pouczyła wszystkich mama.

– Nie mogłeś sam niczego wymyśleć? Tylko korzystać z instrukcji Gru... Maćka? – zapytał tata.

– A po co myśleć, skoro instrukcja działa?

Ta uwaga Łukaszką bardzo zdenerwowała tatę, bo zaczął krzyżeć:

– Właśnie, że nie działa, bo nie pójdziesz na podwórko! Żebyś się nauczył, że takie instrukcje nie działają, nie działały i nigdy nie będą działać!

– Ciekawe, innych używam od roku i działa... – Łukaszek zrobił zrozpaczoną minę i zakrył usta ręką. Ale było już za późno.

# (PRAWIE) KAŻDY KIJ MA DWA KOŃCE

Łukaszek z mamą wędrowali przez miasto. Z głośników umieszczonych w ogródkach piwnych i nad wejściami do sklepów rozbrzmiewał najnowszy przebój o Wachu-Lełęsie i Kisławie-Czeszczaku:

*Pan się nie boi tak, panie Wachu  
Choć pól Polski płacze ze śmiechu  
Jak pan tłumaczy, że nie był Bolkiem  
Bo zrobił sam jeden Ruskom demolkę*

*Tak, panie Wachu, pan się nie boi,  
Przecież się Czeszczak w sądzie wybronił  
Nikomiu z głowy włosy nie spadnie  
Po transformacji musi być ładnie*

Koło przystanku autobusowego wpadli na Grubego Maćka i jego mamę. Mamy sobie pogadały o tym, co tam w polityce. Mama Łukaszka zauważyła u mamy Grubego Maćka nowe buty. Nowy zegarek. I nową torebkę. Zapytała więc dyskretnie.

– A tak, to nowe! – odparła ze śmiechem mama Grubego Maćka. – Nie, oczywiście, że stary mi nie dał pieniędzy. Ten skąpiec i faszysta? Ale w życiu!, kochana. No tak, to trochę kosztowało. Tak, ja zarobiłam. Ależ nie, kochana, całkiem prosto. Po prostu zgłosiłam, że nie usunęłam Macieja, kiedy miałam go w brzuchu. E, nie, to całkiem proste. Znajomy lekarz, swoją drogą znakomity fachowiec, wykląda etykę lekarską, podpisał mi lewe zaświadczenie, że w czasie ciąży miałam grypę. A ja napisałam do Sztrasburga, że pomimo zagrożenia życia nie usunięto mi ciąży i dostałam odszkodowanie! Od kogo? No od skarbu państwa. A Maciej? Nie no, ha, ha, ha, Maciejowi nic się nie stało, przecież to było tak tylko... No sama wiesz... Kasę frajerzy wypłacili, to Maciej dostał frytki, a ja kupiłam sobie te buty i torebkę. Aha, i zegarek.

– Łukasz, słuchaj – zaczęła mama Łukaszka z błyskiem w oczach i rozejrzała się w poszukiwaniu syna. I zmartwiła. Mama Grubego Maćka też. Bo obaj chłopcy stali przy podświetlanej ścianie wiaty autobusowej. A tam była wyłożona pierwsza strona „Wiodącego Tytułu Prasowego”. Wielkimi literami pysznił się tytuł „Mieszkaniec Holandii dostał odszkodowanie za to, że nie poddał rodziców eutanazji”.

– Nic z tego nie rozu... – zaczął Gruby Maciek, ale nie dokończył, bo mama pociągnęła go mocno za rękę. To samo zrobiła mama Łukaszka z Łukaszkiem, tyle że w inną stronę.

– Ała, to boli! – darł się Łukaszek.

– Ja ci dam gówniarzu czytać o eutanazji!

Z głośników w ogródkach i przy sklepach wydobywały się dźwięki tanecznego remiksu „Money for nothing”.

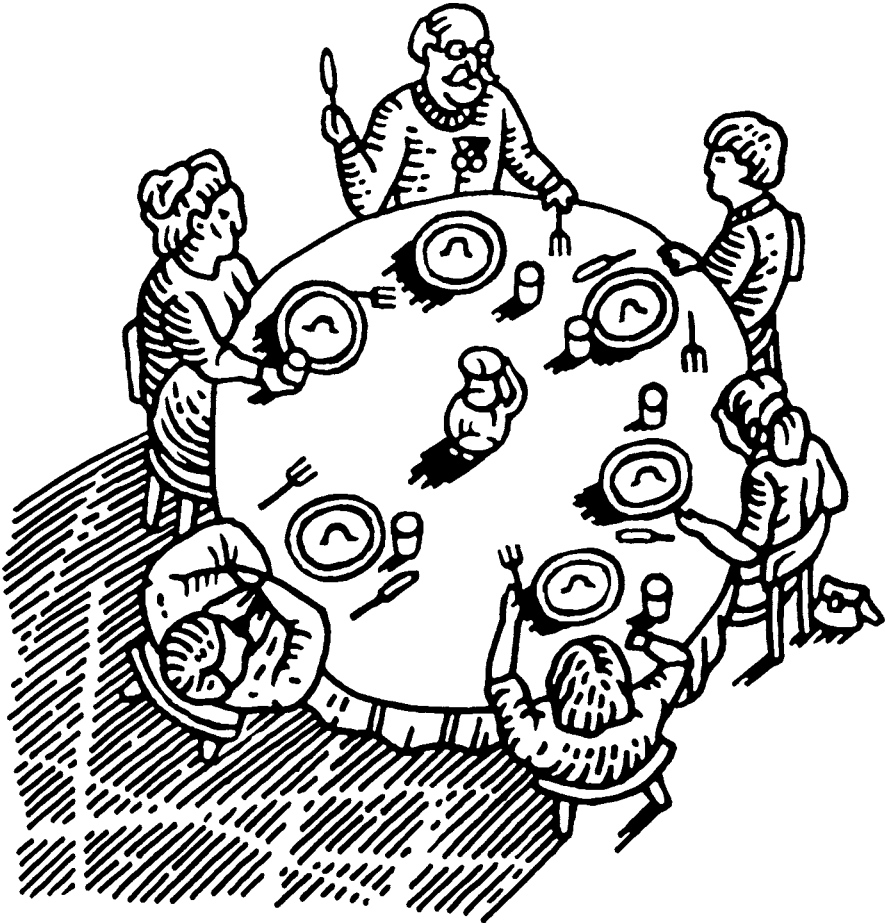
# OBIAD I SEKS

U Hiobowskich był taki zwyczaj, że cała rodzina jadła razem obiad. Zwyczaj ten kultywowali zwłaszcza babcia i dziadek, choć z zupełnie innych powodów. Dziadek – z powodu tradycji wyniesionej z rodzinnego dworku, babcia – bo po wojnie kwaterunek przydzielił jej rodzinie tylko jeden pokój.

Podczas takich posiłków, rzecz jasna, wszyscy rozmawiali, co prowadziło czasami do drastycznych scen obyczajowych. Ostatnia awantura zaczęła się banalnie.

– Podaj tacie kompot – poprosiła mama, a Łukaszek nie podał, tylko powiedział:

– To nie jest mój tata.



Zapadła martwa cisza, którą przerwał brzęk widelca upuszczonego przez tatę.  
– Ehehe, no co ty, Łukasz... – zaczęła słabo mama i poskubała wiszące na szyi korale. – Jak tak możesz do taty...

– Wytłumacz mi to – rzekł głucho tata do mamy.

– Ja wytłumaczę – wciął się Łukaszek. – Teraz tata jest rodzic 2, a mama rodzic 1. Żeby dzieci adoptowane przez pary jedнопłciowe nie czuły się gorzej.

– Co to do (...) za głupoty, ja (...), (...) mać! – zdenerwował się tata.

– W telewizji mówili.

– A w której?

– A to jest jakaś różnica? – zdziwił się Łukaszek.

– Pewno, że jest, i to ogromna! – krzyknęli wszyscy, spojrzeli na siebie i znów zaczęli jeść w milczeniu. Mama nadziała dzwonko ananasa na widelec i powiedziała:

– Pamiętaj, córeczko, że kiedy rozpoczniesz życie seksualne, aby dokładnie zapamiętywać swoich partn... Co się stało? – krzyknęła mama, kiedy zobaczyła, jak na twarzy siostry Łukaszka maluje się coraz większy strach.

– Bo ja już rozpoczęłam...

Tata po raz drugi upuścił widelec, babcia po raz pierwszy, a dziadek nóż (przerobiony z bagnetu, pamiątka z września 39). Ale mama wykrzyknęła z entuzjazmem:

– Jak to?! I nic nie powiedziałaś mamie?! Kto był tym pierwszym? Zagubiony gej, szukający swojej tożsamości? Działacz alterglobalistyczny? Może chociaż Afroamerykanin?

– Rudy z drugiej klatki – lakonicznie odparła siostra.

– No jak mogłaś! Z tym endekiem?!

– Nie za młoda jesteś? – zafrasował się tata.

– No coś ty! Ja w jej wieku z synem dziedzica na sianie... – zaczęła babcia, ale dziadek wszedł jej w słowo:

– No coś ty! Ja w jej wieku z dziewczką na sianie... – po czym zaczerwienili się i umilkli, a babcia syknęła, że muszą porozmawiać.

– Mam nadzieję, że się zabezpieczyłaś – powiedział poważnie Łukaszek.

– No jasne! – obruszyła się siostra. – Biorę pigułki.

– Czemu nie prezerwatywy? – dociekał tata.

– Jak dziewczyna ma brać prezerwatywy? – ofuknęła go mama.

– Nie lubię prezerwatyw, są takie jakieś... – siostra aż się wzdygnęła.

Rodzina pokiwała aprobująco głowami i jedli dalej, podczas gdy siostra kontynuowała myśl, niebezpiecznie zbliżając się do punktu zapłonu rodzinnej awantury:

– No i jak to – brać gumę do ust...

Mama i babcia zrobiły spreja, wypluwając kompot.



# HALINA

– Pokłóciłam się z Haliną! – oznajmiła z furią mama Łukaszką, prowadząc samochód. Rodzina Hiobowskich jechała na rynek po zakupy. – Niech nikt przy mnie nie wymawia jej imienia.

– O co się pokłóciłaś z Haliną? – spytała babcia. Samochód zatrzymał się gwałtownie i babcia, poganiana krzykami mamy, musiała wysiąść.

– Kto to w ogóle jest ta Halina? – dociekał dziadek i również musiał opuścić pojazd.

Jechali dalej w milczeniu. Łukaszek nagle kichnął.

– Wytrzymaj noCHAL I NAKapaleś smarka... – krzyknęła siostra i w ostatniej chwili uniknęła zderzenia z fotelem podczas gwałtownego hamowania.

– Powiedziałaś: Halina! Wsiadka! – darła się mama.

– Nie powiedziałam!

– Sama słyszałam! Wsiadaj! No!

Trzasnęły drzwi i auto ruszyło dalej.

– Ja pierniczę – powiedział Łukaszek.

– Jak ty się odzywasz! – oczy mamy ciskały błyskawice. – Wsiadaj!

– Za co?! Przecież nie powiedziałem nic o Halinie!

– Wypad z tego auta! Już!

Łukaszek wysiadł. Ledwo auto ruszyło, tata poprosił:

– Zatrzymaj.

– Dlaczego?

– Chcę wysiąść.

– Ależ kochanie, nie musisz, przecież nie mówięś nic o Halinie...

– HALINAHALINAHALINA – powiedział tata i wysiadł.

Na szczęście Halina zadzwoniła wieczorem z przeprosinami.

# CIOTKA ARTYSTKA

## CZĘŚĆ 1

W domu Hiobowskich zapanowało wielkie poruszenie. Miała przyjechać siostra mamy, znana artystka. Jednak nikt nie mógł sobie przypomnieć, aby kiedykolwiek widział ją w telewizji, słyszał o niej w radiu czy czytał o niej w prasie. Nic. Cisza kompletna. Niemniej mama Łukaszka twierdziła, że ciotka artystka jest wielką artystką, bo miała wiele wystaw za granicą.

– A co ona robi? – spytał Łukaszek i to pozornie proste pytanie jakoś podejrzanie długo nie mogło doczekać się odpowiedzi. Mama jedynie bąknęła, że ciotka „robi performensy” i że niewiele ma to wspólnego ze sztuką klasyczną.

– Ze sztuką w ogóle – bąknął cicho tata Łukaszka znad gazety i został za to opierniczony przez mamę. Ciekawość Łukaszka została rozbudzona do maksimum.

Okazało się, że ciotka organizuje wystawę w ich mieście i zaprasza całą rodzinę na otwarcie. W zamian za to mama zaprosiła ciotkę do nich na uroczystą kolację.

W dzień wystawy wszyscy ubrali się elegancko, wsiedli w ładę van i pojechali do galerii sztuki „Herostrates”. Przy wejściu wpadli na Grubego Maćka z rodzicami – okazało się, że to mama Łukaszka poprosiła ich telefonicznie o przyście, żeby było więcej ludzi na otwarciu. Jak się okazało, był to dobry pomysł, bo publiczność nie dopisała. I to pomimo tego, że wstęp był za darmo i że o otwarciu wystawy napisał „Wiodący Tytuł Prasowy”. Może dlatego, że w „WTP” napisano to, co rodziny Łukaszka i Grubego Maćka dowiedziały się dopiero z tablicy przy wejściu. Otóż było tam napisane, że wystawa należy do cyklu „Wszystko, co ludzkie”, że eksponaty są wykonane z wydzielin artystki, takich jak kał, mocz, ślina oraz z włosów i paznokci. No i że wystawa jest finansowana z pieniędzy Unii Europejskiej.

– Co to jest kał? – spytał głośno Łukaszek.

– To jest gówno – odparł jeszcze głośniej Gruby Maciek.

– Taki młody, a zna się na sztuce – powiedział ktoś z wychodzących.

– On chyba mówił nie o sztuce, a o Unii Europejskiej – powiedział ktoś inny i zarechotali.

– Nie gniewaj się, kochanie, ale twoja siostra ma z dekle – szepnął mamie Łukaszka do ucha tata Łukaszka. Mama tylko coś fuknęła i weszli.

W hallu powitała ich ciotka artystka. Miała na sobie suknię przypominającą worek po ziemniakach i bardzo ucieszyła się z ich przybycia.

– Niestety, kochani, nie mogę was oprowadzać, sami rozumiecie, ma przyjść ktoś z prasy albo z telewizji...

Zwiedzający odpowiedzieli, że rozumieją, i ruszyli oglądać eksponaty. Już przy pierwszym odpadli babcia Łukaszka i rodzina Grubego Maćka. Trzeba przyznać, że oglądanie instalacji „Przenicowany pływak” wymagało mocnych nerwów. We wnętrzu wielkiego, szklanego prostopadłościanu wypełnionego moczem pływały okulary pływackie, płetwy i wyrwcony na lewą stronę kostium kąpielowy.

Babcia Łukaszką, trzymając się za nos (choć nie było nic czuć) i za usta, wyszła z galerii. Rodzina Grubego Maćka zatrzymała się jeszcze przy ciotce artystce, żeby zrobić jej awanturę.

– Trzeba być nienormalnym, żeby pokazywać publicznie swoje siki i gówno! – darła się mama Grubego Maćka.

– Ty ciemnogrodzie zacofany! – darła się ciotka artystka i – dziwne – wyglądała na szczęśliwą. Gruby Maciek zrozumiał, że obrażają mu matkę, więc uciekł się do najlepiej opanowanej riposty:

– Twoja stara powinna była się wyskrobać! – wrzasnął Gruby Maciek do ciotki artystki i wyszedł razem ze swoimi rodzicami. Zaraz za nimi wyszedł trzęsący się z oburzenia dziadek Łukaszką, który poległ przy krucyfiksie wyrzeźbionym w kale.

Łukaszek i rodzice nie wytrwali do ostatniego eksponatu. Wymiękli przy „Rzucie oka do wewnątrz”. Była to szklana bania, owinięta czarnym papierem z jednym małym otworem, przez który można było zobaczyć wnętrze bani. Tam, w moczu pływały kawałki gów... kału, delikatnie podświetlone wmontowanymi w dno bani halogenami.

– Wystawa fascynująca. Do zobaczenia w domu na kolacji – powiedziała mama Łukaszką ciotce, kiedy już wychodzili. Tata nic nie mówił, stał w otwartych drzwiach, był błydy i głośno oddychał.

– Ciocia może się spóźnić – rzekł Łukaszek, wprawiając obie panie w konsternację. – No bo musi posprzątać. Te siki i te... e... klocki.

– Skąd ten pomysł? – spytała ciotka.

– Bo jak kiedyś nie zdążyłem do kibla i nałatem na podłogę, to mama kazała mi sprzątnąć ten syf, zanim dostanę kolację – powiedział Łukaszek. Ciotka przykucnęła i powiedziała mu cicho, że ona tego wszystkiego nie będzie sprzątać.

– Ktoś inny? – próbował zgadnąć Łukaszek.

– Nie, nikt. Tak to zostanie. Widzisz Łukaszu, ta wystawa ma na celu coś pokazać. Pokazać ludziom, że wewnątrz jesteśmy tacy sami. Że nieważne, czy ktoś jest biały, czy Afroamerykanin, we wnętrzu nosi te same jelita. Chciałam wydobyć tę wewnętrzną brzydotę i zmusić ludzi, by spojrzeli na siebie właśnie poprzez jej pryzmat, poprzez to, co mamy w sobie.

– A ciocia się nie wstydzi pokazywać... e... kupę i siki?

– No właśnie Łukaszu, doskonałe pytanie. Chciałabym, aby ta wystawa dała coś nie tylko publiczności, ale i mnie. Aby był to dla mnie kolejny krok w rozwoju, nie tylko jako artysty, ale i jako człowieka. Pokonać siebie, pokonać swój wstyd, o, to naprawdę ciekawe doświadczenie i jestem szczęśliwa, że się udało!

Łukaszek zamrugał kilka razy oczami i spróbował uprościć to co usłyszał.

– Ciocia jest szczęśliwa, bo pokazała... e... klocki? – zapytał ostrożnie, spodziewając się bury. Ale ciotka pokiwała potakująco głową, nie mając najmniejszego pojęcia, że tym drobnym gestem ściągnie na siebie prawdziwą katastrofę.

# PRZEPROSINY POLSKA

Poseł Kurcek-Jaski ma przeprosić „Wiodący Tytuł Prasowy” – oznajmił dziadek, przeglądając poranną prasę.

– Gdzie ma przeprosić? – spytała babcia.

– Właśnie na łamach „WTP”.

– Ojej, toż takie ogłoszenie chyba sporo kosztuje...

– Nieprawda! – matka z dumą pomachała płachtą dzisiejszego wydania „Wiodącego...” – w swym miłosierdziu redakcja postanowiła specjalnie dla posła obniżyć stawkę o 95%!

– O! Prawdziwa okazja! – skomentował tata. – I kiedy ma przeprosić?

– No właśnie dzisiaj – głos mamy drżał ze szczęścia. Nerwowymi ruchami kartkowała gazetę.

– Jest! – wszyscy się nachylili i wybuchnęli głośnym śmiechem. Oprócz mamy. Mama zapałała strasznym oburzeniem.

Na połowie strony była biała plama, a na niej kilka linijek wielkiego, czarnego tekstu. „Poseł Kurcek-Jaski przeprosza Wiodący Tytuł Prasowy za...” i było podane za co.

A pod spodem mniejszymi literami: „Sprzedam Opla”.

# QUAD, BOOM, BANG

Wakacyjna niedziela. Z ogłuszającym rykiem okularnik z trzeciej ławki kręcił kółka quadem (prezent z okazji pierwszej Komunii Św.) po parkingu w towarzystwie swojej rodziny. Przyspieszał, hamował, brał zakręty, skakał na garbach. Łukaszek i Gruby Maciek siedzieli pod trzepakiem i obserwowali go uważnie.

– Ale nudy – powiedział Łukaszek.

– No – potwierdził Gruby Maciek.

Okularnik ich dostrzegł, podjechał i zahamował tuż przed nimi.

– Dasz się przejechać?! – zapytał Łukaszek.

– Nie – okularnik z lubością pokręcił głową.

– To spadówa! – ryknął Gruby Maciek.

Okularnik wrócił na parking. Koło jego rodziny zgromadziła się już pierwsza publiczność, ale była nastawiona negatywnie do wyczynów młodego rajdowca.

– Czy on musi tak hałasować tym chińskim gównem?! – zaczął jakiś wysoki facet.

– To nie jest chińskie gówno! Produkt polski! Kupiony w markecie!

– To czemu pisze: made in China?

– Nie pana interes! Synu, pokaż, jakie ta maszyna ma kopyto!

Okularnik, zachęcany przez ojca, odkręcił gaz i pomknął przez parking jak strzała. W tym momencie we wjeździe pojawił się czerwony fiat barchetta. Okularnik zwolnił, ale nie zdążył się zatrzymać i uderzył przodem w drzwi pasażera fiata. Rozległ się głuchy huk, a potem zapadła cisza. Okularnik zleciał z quada, pojechał tyłkiem po asfalcie i zaczął się drzeć.

– Nic ci się nie stało, synku?! Nowiuśki quad! A mówiłam ci: kupić mu zegarek czy coś! – nadciągała biegiem rodzina okularnika. Z fiata wysiadł kierowca – wysoki, chudy, trzydzieści kilka lat, okulary, nastroszone włosy. Obejrzał samochód i wznosił ręce w geście rozpaczy.

– Całe drzwi rozbite! – zapiszczał falsetem.

– No jak pan może, grunt, że dziecku nic się nie stało – obruszyła się matka okularnika, podnosząc latorośl z asfaltu za ucho. – Nie ma pan dzieci?

– Nie mam! Nie mam! I gówno was to obchodzi! – rozdarł się kierowca.

– Nie lubię dzieci! Są lepkie! I śliskie! I śmierdzą! I rąbią w pieluchy! Brzydzą się nimi! Wolę kota! Wolno mi! A ten zacofany kraj zaraz uważa, że jak ktoś w tym wieku nie ma dzieci, to jest gej, bezpłodny albo frustrat! Nienawidzę was! – załkał, obrócił się, wyjął komórkę, zadzwonił i płaczącym głosem zaczął mówić:

– Och, Krzysiu, gdzie jesteś, kiedy cię potrzebuję? Jakiś bachor rozbił mi samochód...

Przyjechała karetka i policja, wjazd na parking nadal był zatarasowany. Rodzina okularnika krzyczała na kierowcę, że nie patrzył, jak jedzie. Kierowca krzyczał na rodzinę okularnika, że są debilami, bo kupują bachorowi quada.

Okularnik krzyczał, bo go pakowali do karetki i chcieli wieźć na badania. Ludzie z karetki krzyczeli na okularnika, żeby nie wierzgał. Mieszkańcy z bloku krzyczeli, bo nie mogli wyjechać z parkingu i jechać na zakupy. Policja krzyczała na wszystkich, żeby byli cicho.

– Ale czad – powiedział zachwycony Łukaszek.

– No – potwierdził z przejęciem Gruby Maciek.

Podszedł do nich jakiś młody, spocony, zdenerwowany policjant.

– Dzień dobry, policja. Znacie tego chłopaka, co miał wypadek?

– No.

– Ile on ma lat?

– Osiem.

– Musimy mu zrobić badania. Nie wiecie, czy on czasem... no... nie bierze narkotyków?

Chłopcy popatrzyli na rozbitego quada.

– Bierze – powiedział mściwie Łukaszek.

– Amfetaminę, marihuanę? Heroinę?

– Wszystko bierze – uściślił Gruby Maciek.

– O Jezu! A alkohol?

– Też bie... – zaczął Gruby Maciek, ale Łukaszek szturchnął go w bok i przerwał:

– Pije.

– Wszystko pije – dodał pospiesznie Gruby Maciek.

Policjant zapisał wszystko w notesie i cały przejęty gdzieś poleciał.

– A mógł dać się przejechać – powiedział Łukaszek.

# CIOTKA ARTYSTKA

## CZĘŚĆ 2

Ciotka artystka stawiała się punktualnie na proszoną kolację do Hiobowskich. Na szczęście się przebrała i zamiast czegoś podobnego do worka na ziemniaki miała na sobie normalną suknię. Zasiedli do stołu wśród lekkiej rozmowy. Mama podała dania wykonane według przepisów najnowszej mody kuchni europejskiej, drukowanych w odcinkach w „Wiodącym Tytule Prasowym”. Łukaszek, niestety, zepsuł początek uroczystości, kiedy to obejrzał specjalty kuchni śródziemnomorskiej przygotowane w wykwintny sposób i zapytał, kiedy dadzą coś do jedzenia.

Temat wystawy wrócił, bo siostra Łukaszka nie była na niej. W tym czasie była na randce z chłopakiem w ruinach przepompowni nad rzeką.

Ciotka poopowiadała, że pojawiła się zaprzyjaźniona reporterka z lokalnego oddziału „Wiodącego Tytułu Prasowego”. Opowiadała też o dość chłodnym, ba, obojętnym przyjęciu dzisiejszego otwarcia.

– Poza tą grupką kołtunów, którzy na początku zrobili awanturę – wspomniała rodzinę Grubego Maćka. – Nie znacie ich przypadkiem?

– Ja... – zaczął Łukaszek, ale mama weszła mu w słowo i, przesyłając mu groźne spojrzenie, powiedziała, że oczywiście nikogo takiego nie znają i znać nie mogą.

– We Francji to dopiero jest coś – wspomniała ciotka. – Ten nasz ciemnogród to się nie umywa do nich! Tam to wystarczy wyjść na miasto, to zaraz jacyś fundamentaliści gonią z czarzafem i wrzeszczą „zakryj się, nieczysta kobieto”. A tu zerwiesz takiej smarkuli krzyżyk z szyi i nic, normalnie nic.

– Zerwać krzyżyk z szyi? – dziadek był wstrząśnięty.

– No bo jakim prawem ona manifestuje swoją religię, obrażając tym samym moje uczucia niereligijne?

– Ciocia nie wierzy w Boga? – zapytała siostra Łukaszka.

– Oczywiście, że nie!

– Więc jak krzyż może obrażać? Przecież dla niewierzącego to tylko dwa patyczki – zapytał chytrze dziadek. Ciotka trochę się zamotała z odpowiedzią, ale show dziadkowi ukraść Łukaszek pytaniem, czy każdy krzyż obraża ciotkę.

– Oczywiście, że tak!

– A taki krzyż obraża? – Łukaszek złożył na krzyż oba palce wskazujące i wyciągnął je przed siebie.

– Łukasz, przestań – poprosiła cicho mama. Ciotka słabo się roześmiała i powiedziała, że taki to nie.

– A taki? – Łukaszek złożył na krzyż widelec i nóż i machał tym przez stół w stronę ciotki.

– Łukasz! – krzyknęła mama. Tata neutralnie zagaił o stronę finansową takich wystaw.

– Och nieźle, Unia hojnie walczy z uprzedzeniami – roześmiała się ciotka i wymieniła jakąś kwotę.

– Za pokazywanie gówna w sikach? – załamał się tata i został opierniczony przez mamę, która rozmarzyła się, że może Łukasz zostanie artystą tak jak ciotka. I jakby na zawołanie Łukaszek, który wcześniej wrzucił pokruszonego kabanosa do dzbanka z sokiem jabłkowym, zawołał:

– Zobaczcie, zrobiłem dzieło sztuki, jak ciocia! – podniósł dzbanek do góry i pomachał nim. Kawałki kabanosa zawirowały w soku, podobieństwo do eksponatów ciotki było nie do podważenia. Babcia rzuciła okiem na dzieło Łukasza, złapała się za usta i wybiegła. Mama, chociaż przed chwilą chciała, aby Łukaszek poszedł w ślady ciotki, teraz strasznie się zdenerwowała i kazała synowi opuścić pokój.

Łukaszek poszedł do siebie. Pograł trochę na komputerze w „Siecz i rąb” („To nie jest żadna strzelanina, zapewniam panią” – powiedziała sprzedawczyni w sklepie i miała całkowitą rację). Potem stwierdził, że najadł się wyjątkowo dużo i warto by pozbyć się tego, co zalega mu w brzuchu. A kiedy siedział na muszli w toalecie, przyszły mu na myśl słowa ciotki i wymyślił Plan.



# DZIECI WSZYSTKO SKYSZĄ

Po południu Łukaszek, Gruby Maciek i okularnik z trzeciej ławki bawili się na placu zabaw. Okularnik miał gips na lewym przedramieniu – efekt niedawnego szaleństwa na quadzie. Siedzieli przy śmietniku i zastanawiali się, w co się bawić.

Łukaszek stanął na rękach i oparł się nogami o ścianę śmietnika.

– Patrzcie na mnie! – wysapał. – Jestem Spiderman i pokonam was wszystkich!

– A ja jestem Batman! – Gruby Maciek biegał wokół nich, podskakując, z rękami wygiętymi w tył. Ręce zapewne miały imitować pelerynę. – I jestem najsilniejszy! I ja pokonam was wszystkich!

Okularnik usiadł na brzegu piaskownicy, ułożył delikatnie zagipsowaną rękę na kolanach i oświadczył: – A ja jestem Kisław-Czeszczak.

Gruby Maciek zatrzymał się gwałtownie. Łukaszek odbił się piętami od ściany i wylądował na czworakach.

– Czeszczak? Co to jest Czeszczak? – pytali obaj.

– E... No nie wiem – przyznał okularnik. – Ale mój dziadek mówi, że towarzysza Czeszczaka to nikt nie pokona!

# ULOTKI

Łukaszek znalazł pod drzwiami mieszkania stos ulotek. Usiadł z nimi w kuchni i próbował je przeczytać, aby znaleźć coś, co mogłoby mu się przydać w codziennych potyczkach z rodziną. Niestety, nawet dla tak dociekliwego ośmiolatka przebrnięcie przez choćby jedną ulotkę okazało się zbyt trudne. Powód banalny – słownictwo. Wziął je zatem w garść i poszedł popytać dorosłych.

Na pierwszy ogień poszedł dziadek. Łukaszek zapukał, wszedł i grzecznie zapytał:

– Co to są półkolonie? – zapytał, odczytując trudne słowo z ulotki reklamującej pobyt na obozie harcerskim.

– To oczywiście przez tych komuchów! – dziadek chyba miał coś innego na myśli. – Kolonie to mieli Anglicy, Holendrzy, Francuzi, a Sowiety – co? *Kurica nie ptica, Polska nie zagranica!* Półkolonia, ot co! Biedny ten kraj, biedny... – dziadek załkał, zabrał wnukowi ulotkę, podarł ją i podeptał. Łukaszek zrozumiał tylko jedno – lepiej wyjść.

Akurat korytarzem przechodziła babcia. Łukaszek zaatakował ją ulotką o wyprzedzaży w ciuchlandzie.

– Wyprzedaż?! – zawarczała babcia. – To wszystko przez tych zgniłych liberałów! Tyle lat człowiek harował, ręce sobie urobił, Gierek ten kraj na czoło wyprowadził, a oni zniszczyli, wszystko za bezcen! Wyprzedaż! Nie wyprzedaż tylko rabunek!

Babcia wzburzona zabrała Łukaszkowi ulotkę i poszła do łazienki prasować swoje koszulki z Leninem.

– Mama – zaczął mamę Łukaszek – a co to znaczy „zdjąć simlocka”? – spojrzał na ulotkę komisu z telefonami.

– To znaczy, mój synu, w wulgarnym slangu, że dziewczyna traci dziewictwo. Cieszy mnie, że zadajesz takie pytania, gdyż świadczy to o tym, że twój rozwój psychiczny postępuje prawidłowo... – i mama z ulotką w ręce oddaliła się w głąb mieszkania, kontynuując monolog. Łukaszek machnął ręką i w sprawie ostatniej ulotki postanowił porozmawiać z tatą. Zapukał ostrożnie do pokoju taty, a tata ostrożnie otworzył drzwi.

– Co to znaczy „gorąca dwudziestka”? – zapytał Łukaszek wyciągając w stronę taty ulotkę z reklamą pobliskiej pizzerii dotyczącą obniżki ceny na pizzę o średnicy 20 cm.

– Za mały jesteś na te rzeczy – powiedział cicho tata i wyjął Łukaszkowi ulotkę z ręki. – A tym ja się zaopiekuję...

# PENSETOKRATA

Łukaszek od kołyski miał talent do wywoływania katastrof towarzyskich. Podczas bardzo ważnych spotkań potrafił zrobić albo powiedzieć coś takiego, co z miejsca rujnowało delikatną atmosferę, wcześniej wypracowany grunt osuwał się spod nóg, pracochłonne, misterne zabiegi odnosiły przeciwny skutek i ogólnie wszystko brało w łeb. Ostatnio jednak przeszedł sam siebie, bo wywołał niewielki konflikt międzynarodowy.

Wszystko zaczęło się, gdy w lipcowe popołudnie trzasnęły z hukiem drzwi wejściowe do mieszkania.

– Łukasz! Ile razy ci mówiłam, żebyś wchodził jak człowiek!

– Ale mam! Na dole jest ten... no... pensetokrata!

– Że co? – wszyscy zaintrygowani wyszli na korytarz. Podniecony Łukaszek jąkał się i łykał zgłoski.

– No jest! Na dole! I chce tę... pensetokratę!

Cała rodzina Hiobowskich (oprócz siostry Łukaszką, która była na randce w niedokończonych ruinach szpitala) pogalopowała do windy. Na dole, pod blokiem stał już niewielki tłumek wokół starszego, grubego pana. Gruby pan stał oparty o nowego mercedesa i palił cygaro.

– Kto to jest? – zapytał tata Łukaszką dozorczynię, panią Sitko.

– To jest pan Von Mistond, przed wojną jego dziad był właścicielem tych terenów.

– Niemiec! – dziadek i babcia wydali z siebie przeciągły jęk. Spełniał się ich największy koszmar.

– I czego on tu chce? – drażył tata.

– Pensetokraty! – rozdarł się Łukaszek. Gruby pan drgnął, spojrzał na niego, uśmiechnął się i rzekł:

– Ajne klajne rojber.

– Obraził mnie? Obraził mnie? – dopytywał się Łukaszek, ale nikt mu nie odpowiedział. Tata Łukaszką podrapał się po brodzie i powiedział:

– Nie pensetokrata, tylko rekompensata.

– Za co? – oburzyli się wszyscy.

– Kiedyś to wszystko było majne – gruby pan pokazał blok. – Iś miałem hijer ajne klajne fabryksien. A teraz tu jest Polen. Zabraliście mi.

Wszyscy po cichu policzyli do dziesięciu, a potem przypomnieli grubemu panu o tym, że był niejaki Hitler.

– Hitler war ajne wariat! Nikt rozsądny go nie popierał – obruszył się gruby pan.

Zapadła cisza (nie licząc szeptów o telefonowaniu do Powiernictwa Polskiego), którą przerwała pani Sitko:

– I co, będzie chciał pan zabrać nam dom?

– Najn – uśmiechnął się szeroko gruby pan. – Po ci mi ten haus?

I gruby pan zaczął przekonywać, że on jest fajny, nieszkodliwy, Hitlera nie lubił, wojną się brzydził, nikogo nie zabił, strzelał zawsze w powietrze,

współczuł Polakom, ratował Żydów, były ich tysiące, grał świetnie na trąbce, przeprowadzał staruszki i on w ogóle nie chce nic, ale mu każą, i on by wziął tylko geld.

– Że co? – spytał Łukaszek.

– Pan chce pieniądze. Żeby mu zapłacić pensetę... rekompensatę – tłumaczyła pani Sitko.

– A musimy? – zapytał tata Łukaszka.

– Musimy! – odparła z mocą mama Łukaszka. – Kongres USA wzywa nas do zadośćuczynienia wypędzonym członkom Trzeciej Rzeszy. I wzywa nas też rząd Niemiec, rząd Izraela, prezydent Francji, prezydent Rosji i Eskimoski Związek Czcieli Winniczka! Musimy płacić!

– Płacić? – oczy Łukaszka zrobiły się czujne. – Jemu? Kto?

– Polska – powiedziała mama.

– Rząd – powiedział z niechęcią dziadek.

– Skarb państwa – machnęła ręką babcia.

– My wszyscy – westchnął tata.

– Wszyscy? Ja też? – dopytywał się Łukaszek, zaciskając w kieszeni dłoń na resztkę tygodniówki. Gdy uzyskał potwierdzenie, wyciągnął przed siebie drugą rękę i wyprostował środkowy palec. Gruby pan się obraził. Awantura wisiąca na włosku.

– Łukasz! Zachowuj się jak Europejczyk! – ofuknęła go matka. – Nie wiesz, że bardzo ważne jest, żeby Niemcy nas lubili? Idziemy już. Pożegnaj się z panem.

– Jak?

– No jak to jak? Po niemiecku!

Łukaszek zamknął oczy, pomyślał chwilę, przypomniał sobie parę filmów i wykrzyczał pierwsze niemieckie pożegnanie, jakie przyszło mu na myśl.

– Hajhitla!!!

Gruby pan odruchowo się wyprężył, wypluł cygaro, stuknął obcasami i wyciągnął przed siebie poziomo prawą rękę. A potem, gdy do niego dotarło, co zrobił, jego twarz wykrzywiła się wściekle.

– Ja pier... – zdążył powiedzieć tata Łukaszka i awantura wybuchła.

# BOJKOT SOLARIUM

Łukaszek szedł z siostrą przez osiedle. Przechodzili właśnie koło sąsiedniego bloku, kiedy siostra powiedziała, że musi coś tu załatwić. Wstąpili do solarium.

– Aha!!! – ryknęła od drzwi siostra Łukaszką. Dziewczynie, która siedziała za biureczkiem aż wypadło kolorowe pismo „Hedonka” z ręki. – Tu jesteście!!! Wiedźcie, że od dziś was boj... boj... – wyciągnęła karteczkę z tylnej kieszeni obcisłych, różowych szortów – bojkotuję!

Łukaszek dramatycznym gestem zasłonił sobie oczy i jęknął:

– Laska, nie rób mi obciachu.

– Co obciachu?! Co obciachu?! – krzyczała zdenerwowana siostra. Urywaniem z emocji głosem wyjaśniła, że personel właśnie tego solarium, odwiedzanego przez nią często i regularnie, traktuje ją skandalicznie.

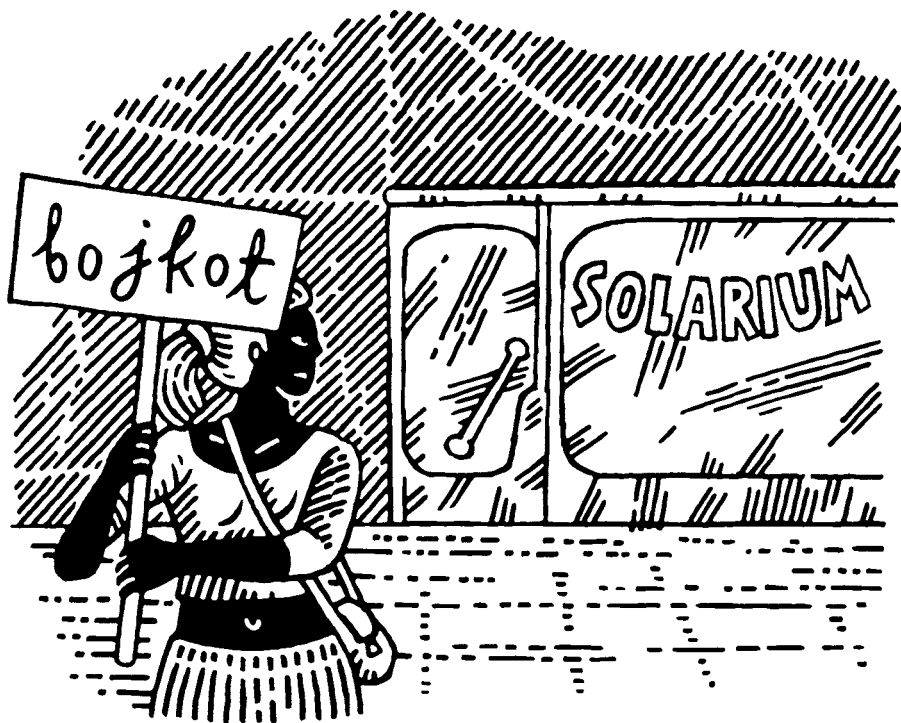
– No i? – spytał Łukaszek. – Może im to wisi?

– No, ale co ja mam zrobić? – siostra wyłamała palce aż zatrzeszczały tipsy.

– Też ich olej – wyjaśnił brat. – Nie ma przymusu chodzenia do solarium.

– Ale ja mu... mu... muszę... – wyjęczała siostra, skręcając się ze wstydu.

– Bo inaczej będę blada jak Lepper. Chłopaki lecą na laski, które są opalone, o tym wie każdy, kto czyta „Hedonkę”!



Łukaszek prychnął tylko pogardliwie i powiedział, że on by olał to solarium i poszedł do innego.

– Właśnie! – ucieszyła się siostra. – Miałam wam powiedzieć, że was bojkotuję! Noga moja nigdy więcej tu nie postanie przez miesiąc albo i dwa!

– Chodźmy stąd – wybąkał Łukaszek, który miał lat osiem, siostra siedemnaście, ale mentalnie bywało czasem na odwrót.

Wrócili do domu. Siostra momentalnie dopadła do telefonu, informując siedemnaście swoich najbliższych przyjaciółek, że bojkotuje solarium w sąsiednim bloku. Następnego dnia wiedziało o tym pół osiedla, a jeszcze dzień później pani z za biureczka w solarium tłumaczyła wszystkim, że szefowie mają nadzieję, że ich najlepsza klientka przeprosi się z nimi i wróci.

Nie zanosilo się na to. Siostra chodziła po mieszkaniu w namacalnej aureoli dumy.

– Bojkotuję solarium już trzy dni – objaśniała wszystkim.

– Też coś, ja ich bojkotuję osiem lat – zgasił ją brutalnie Łukaszek.

– Ja... Jak to osiem lat? – siostrze opadła szczęka. – Łukasz, jak ty to robisz, no jak ty to robisz?

– To proste: od urodzenia tam nie byłem.

Siostra jakoś przycichła. Nadal chodziła po mieszkaniu, ale coraz częściej pocierała przedramiona i oglądała skórę na ramionach przy oknach, tam, gdzie światło jest najlepsze. Coś wisiało w powietrzu.

Wreszcie któregoś dnia siostra przyszła do domu mocno opalona i wyznała, że była w bojkotowanym do tej pory solarium.

– Jak to? – zdumiał się Łukaszek.

– No bo ja muszę chodzić do solarium, czy ty tego nie rozumiesz? Boże, czy wszyscy faceci są tacy sami, tacy prości?!

– Są – zapewnił ją uroczyście Łukaszek.

– Gdzie mam iść, jak nie tam?! Są najbliżej, mają dobre ceny, znakomite łóżka, nowe lampy. Och, co ja teraz powiem dziewczynom? – załkała.

– Patrz na mnie – wyprężył się dumnie jej brat. – Ja nadal ich bojkotuję.

– Łukasz, jak ty to robisz, no jak ty to robisz?

# CIOTKA ARTYSTKA

## CZĘŚĆ 3, OSTATNIA

Ciotka artystka kończyła kolację u Hiobowskich jedynie w towarzystwie mamy i taty Łukasza. Dziadek poszedł w ślady babci i Łukasza, ale opuścił pokój z własnej woli. Bał się, że po serii wypowiedzi ciotki na temat patriotyzmu (kaleczący duszę zabobon) i ojczyzny (atawistyczny balast) może się dopuścić na niej rękoczyn.

Ciotka pożegnała się z siostrą i szwagrem, rzuciła jeszcze parę uwag odnośnie do rozwoju swojej kariery:

– Gomtold-Wibrowicz... Masrota-Dołowska... Niezrota-Donalska... i ja! – ubrała się, pomachała w drzwiach i poszła.

Łukaszek nawalał na komputeryze w „Siecz i rąb”, dziadek czytał Dmowskiego i próbował się uspokoić, babcia sprzątała ze stołu (dzieło Łukasza sprzątnęła jako pierwsze), mama oglądała odcinek amerykańskiego serialu „T jak tolerancja” (akurat książd Afroamerykanin wyznawał miłość szesnastoletniemu prawnikowi), a tata wyszedł odetchnąć na balkon (w pokoju było duszno). I właśnie przez balkon napłynął do mieszkania potworny, ochryply, niesamowity wrzask. Wszyscy poderwali się na nogi ogarnięci jedną myślą: coś się stało ciotce!

Jakby na potwierdzenie odezwał się dzwonek domofonu. Rzucili się do słuchawki, mama była pierwsza.

– Halo! Czy to ty?! Halo! – krzyczała mama do słuchawki, ale ze słuchawki wydobywało się tylko jakieś buczenie, przerywane słowami „gnojki”, „ciemnogród” i „polski antysemityzm”. Cała rodzina ubrała się i pobiegła do windy.

– Kara boska ją spotkała – powtarzał przejęty dziadek.

– Za tę zgniliznę moralną z zachodu – dodała babcia.

– Zgwałcili ją! – rozpaczła mama.

Tata i Łukaszek nic nie mówili. Tata nerwowo sprawdzał, czy komórka jest naładowana, żeby w razie czego dzwonić po policję. Łukaszek natomiast w zamyśleniu pstrykał paznokciem kciuka o zęby.

Ciotka czekała już na nich pod blokiem. Wyglądała tak, jak w chwili, kiedy opuszczała mieszkanie, poza tym, że płakała. Nie odpowiadając na żadne pytanie, kazała im gestem iść za sobą. Doszli tak na parking, gdzie stał samochód ciotki artystki – nowa, srebrna alfa romeo. Na jej masce w świetle zachodzącego słońca rysowała się grupka niewielkich, ciemnych grudek. Charakterystyczny zapach nie pozostawiał wątpliwości.

– To jest gów... ka! – powiedział zdumiony tata.

– Aaaaa! – ciotka wydała z siebie okrzyk wściekłości. – No jak tak można! Zbeczcęcili mój samochód! Prześladowają mnie! Nie ma, nie ma w tym kraju wolności słowa, wolności wypowiedzi! Terror kołtunerii! Co za rozwydrzenie, brak tolerancji, szowinizm! Jak można wysmarować komuś samochód

gównem! Aaaa! – na twarzy ciotki łzy mieszały się z makijażem i wyrazem triumfu. – Ale ja im pokażę! Zaraz zadzwonię do mojej znajomej redaktorki i cały świat zobaczy, jak się prześladowuje artystów! Cóż to za wspaniały punkt w mojej karierze!

Rodzina milczała. Mama zdobyła się na to, aby zapytać o samopoczucie ciotki.

– Dobrze, dobrze, pomimo tego okropnego... – i ciotka spojrzała z obrzydzeniem na maskę auta.

– Nie podoba się cioci? – spytał cicho Łukaszek.

Nagle wszyscy pomyśleli o tym samym i zrobili przerażoną minę.

– To chyba nie ty... – zaczął dziadek. Łukaszek pokiwał głową.

– Jak ty żeś to... zrobił? – zapytał tata. – Chyba nie... tutaj?

Babci i ciotce zrobiło się słabo. Babci na myśl o zgniliznie moralnej, ciotce na myśl o wchodzeniu butami na maskę jej samochodu.

– Wyłowiłem z sedesu srajtaśmą – wydukał czerwony jak burak Łukaszek.

– Wziąłem w foliówkę... Zjechałem windą... I położyłem tak, żeby ciocia widziała, jak będzie wychodzić!

– Ale dlaczego, Łukasz? – mama była wzburzona. – Dlaczego?

I Łukaszek, na pół becząc, na pół zatykając się ze wstydu, opowiedział, że chciał cioci zrobić przyjemność. No bo przecież ciotka sama przyznała, że lubi oglądać klocki. I cioci podobał się ten numer z dzbankiem i sama go zachęcała, żeby poszedł w jej ślady.

– Usuń to – poprosiła słabo ciotka, zaciskając zęby. Łukaszek wziął kawał gazety i usunął, pozbierawszy i wyrzuciwszy do śmietnika. Kiedy chciał przetrzeć maskę gazetą ciotka powstrzymała go, twierdząc, że i tak chciała jechać na myjnię.

– Przepraszam – powiedział Łukaszek i podał ciotce rękę. Tę, którą sprzątał. No i wtedy się zaczęło. Ciotka zaczęła krzyżeć na mamę: „masz syna koprofila”, mama zaczęła krzyżeć: „sama masz z dekle”, dziadek powtarzał „kara boska, rozum wam odjęło”, babcia błagała „dajcie spokój, ludzie patrz”. I tylko tata zachował przytomność umysłu – gdy zobaczył, że Łukaszek filmuje to wszystko komórką, zaraz mu ją zabrał.

– Ale tato! Bylibyśmy gwiazdami na Youtube!

Tata był jednak niewzruszony.



# REFORMA KRUS

Łukaszek poszedł z babcią na spacer. Czyli do lekarza. Zajrzeli do osiedlowej przychodni, która miała podpisany kontrakt z Centralnym Inkasem Ubezpieczenia Lekarskiego (w skrócie CIUL). Babcia lubiła tam chodzić, bo dla ludzi starszych wiekiem pełniła funkcję świetlicy osiedlowej. Można się tam było spotkać, pogadać, powspominać, ponarzekać, pograć w tysiąca, wydać tysiąca (na leki z nier refundowanej apteki), zrobić zakupy, a czasem nawet badanie. Już przy drzwiach pani recepcjonistka przywitała się serdecznie z babcią. Babcia Łukaszka, jako stały bywalec przychodni, była znana całemu personelowi i miała kartę zniżkową programu lojalnościowego. Łukaszek został skierowany do działu dla maluchów (boks na wzór tych w marketach), a babcia miała przejść przez bramkę dla emerytów. W skrzydle dla osób starszych wiekiem był sklep zielarski, wygodne kanapy, telewizor z kanałem wspominkowym ITI PRL, bar mleczny, a codziennie o losowej godzinie przychodził lekarz i badał losowo wybrane trzy osoby. Na więcej nie starczało pieniędzy. Babcia Łukaszka rozumiała to i choć płaciła składkę zdrowotną przez całe życie, to nie narzekała.

– Słyszała pani? – zagadnęła ją recepcjonistka. – Od przyszłego miesiąca lekarz ma badać już nie trzech, a czterech emerytów dziennie!

– O! – ucieszyła się babcia. – A to dobra wiadomość, a skąd taka poprawa?

– Rząd podnosi ryczałtową składkę kwartalną na KRUS, z dwudziestu na dwadzieścia jeden euro od osoby – wyjaśniła recepcjonistka. Chciała jeszcze coś powiedzieć, ale akurat pod wejście do przychodni zajechało nowe audi A8, z którego wysiadł młody człowiek. Młody człowiek, trzymając się za lewą dłoń, wszedł do przychodni i powiedział pani recepcjonistce, że dzwonił w sprawie kontuzji palca.

– Już! Momencik! – recepcjonistka rzuciła się do telefonu, wykręciła numer i powiedziała, że ten pacjent już przyszedł. Pacjent w tym czasie pogadał chwilę z babcią Łukaszka, uprzejmie ponarzekał z nią na rząd, zwłaszcza że jemu podobno mieli podnieść składkę zdrowotną i na chleb mu jeszcze starczy, ale na masło już nie. Długo nie pokonwersowali – rozległ się tupot i w hallu zaroilo się od personelu. Na czele biegł ordynator oddziału ortopedii. Babcia Łukaszka pomyślała, że śni, pierwszy raz widziała, żeby ordynator biegł – zazwyczaj dostojnie chodził lub jeździł swoim S klasie. Młody pacjent został delikatnie ułożony na noszach i w otoczeniu pielęgniarek przewieziony przez bramkę dla pacjentów „lux-vip”. Obok niego szedł ordynator i obiecywał, że osobiście nastawi pacjentowi wybity kciuk.

Babcia Łukaszka pierwszy raz (a bywała tu często) zobaczyła pacjenta przekraczającego bramkę „lux-vip”. I to na dodatek ten, który się skarżył na to, że mu na masło nie starczy. Burzuazja!

– Pani, kto to był? – zawrzała proletariackim oburzeniem. – Kulczyk?

Recepcjonista machnęła ręką.

– A tam Kulczyk. Rolnik!

# DZIADEK JEST ZGORSZONY

Dziadek Łukaszka poszedł do cotygodniowej spowiedzi. Kiedy już wyznał długą listę grzechów i otrzymał rozgrzeszenie, wyszedł przed kościół na papierosa.

– Ej, synu – pogroził mu żartobliwie młody wikary, który też wyszedł – palenie to grzech.

– Bo? – spytał poirytowany dziadek, który od czasów frontowych nie lubił, gdy ktoś mu przerywał palenie papierosa. Do takiego delikwenta albo strzelał (w latach 39-45), albo go częstował (w latach 45-89), albo się z nim kłócił (po roku 89, kiedy z powodu waloryzacji emerytur nie mógł już tak szastać fajkami).

– Bo palenie to świadome skracanie swojego życia, takie samobójstwo na raty – wyjaśnił uprzejmie młody wikary. – A samobójstwo to grzech.

– Ja pier... – powiedział dziadek, ale wikary mu przerwał:

– To też grzech.

– Wiem, wiem – dziadek lekko się przygarbił i zasmucił. – Wszystko to grzech. Ale słaba jest natura człowieka. Niech mnie ksiądz zostawi z moimi grzechami...

– Nie mogę synu, bo twoje grzechy nie są tylko twoje – ksiądz delikatnie poklepał dziadka po plecach. – No popatrz tylko na te owieczki – i pokazał wysiadającą z autokaru grupę babć zwijających transparent z napisem „Niech umrą w bólu i męczarniach wszyscy nasi wrogowie” – palisz, one widzą, że palisz i może je najść ochota...

– Ksiądz chyba żartuje – dziadek Łukaszka aż się spocił.

– Nie przerywaj synu. Może je najść ochota, aby też zapalić. I tak twój grzech się rozprzestrzeni. A to też grzech. Grzech zgorszenia. Bo jak mówi katechizm: *Zgorszenie jest postawą lub zachowaniem, które prowadzi drugiego człowieka do popełnienia zła. Ten, kto dopuszcza się zgorszenia, staje się kusicielem swego bliźniego. Narusza cnotę i prawość; może doprowadzić swego brata do śmierci duchowej. Zgorszenie jest poważnym wykroczeniem, jeśli uczynkiem lub zaniedbaniem dobrowolnie doprowadza drugiego człowieka do poważnego wykroczenia.*

– Ale palenie papierosów?

– Ba! *Zgorszenie może być spowodowane przez prawo lub instytucje, przez modę lub opinię publiczną.*

Dziadek był wstrząśnięty. Ale zaprawiony w domowych bojach słownych szybko się pozbierał i odparł, że jego też gorszą.

– Mów, synu – zachęcił go młody wikary.

– To są ludzie, grupa ludzi. Swoim zachowaniem gorszą nie tylko mnie, ale i wielu innych ludzi w tym kraju. W obecnych trudnych czasach, gdy wielu z nas żyje na granicy ubóstwa, oni, choć obiecywali skromność i ubóstwo,

ostentacyjnie obnoszą się ze swoim bogactwem. Swoim, chociaż pochodzi od nas, zwykłych ludzi, ale oni nie myślą się nim podzielić.

– Mają zapewne władzę? – zapytał młody wikary. Dziadek kiwnął głową. Wikary kontynuował: – Katechizm mówi: *Ten, kto używa władzy, którą rozporządza w sposób prowadzący do czynienia zła, jest winny zgorzenia i odpowiedzialny za zło, któremu bezpośrednio lub pośrednio sprzyjał.*

– Ich postawa moralna powoduje zgorzenie u tych, którzy nie ugięli się przez te wszystkie lata. Ludzie, którzy powinni być szczególnie prawi, moralni, donosili, informowali, współpracowali z poprzednią władzą.

– Może ze strachu, zastraszeni...

– Powszechnie wiadomo, że robili to dla pieniędzy, kariery, korzyści majątkowych, wyjazdów zagranicznych. Ci ludzie nie wyrazili skruchy, nie zadośćuczynili pokrzywdzonym, twierdzą, że to tylko ich sprawa, co więcej, owa przeszłość zapewnia im obecnie dobrobyt, co prości ludzie rozumieją prosto: zło popłaca.

– *Manipulują opinią publiczną, odciągając ją od wartości moralnych* – młody wikary znów odwołał się do katechizmu.

– I wreszcie sfera obyczajowości seksualnej. Ci, którzy wychowują młodzież, którzy z racji swych stanowisk i funkcji mają być dla niej wzorem, dopuszczają się ohydnych praktyk, które potem są skwapliwie zamiatane pod dywan. Młodzi ludzie są najpierw upokarzani, potem karceni za to, że owe praktyki ujawniają, a na koniec poddawani ostracyzmowi lub pozostawieni sami sobie.

– Katechizm mówi: *Zgorzenie nabiera szczególnego ciężaru ze względu na autorytet tych, którzy je powodują, lub słabość tych, którzy go doznają oraz zgorzenie jest szczególnie ciężkie, gdy szerzą je ci, którzy, z natury bądź z racji pełnionych funkcji, obowiązani są uczyć i wychowywać innych.*

– A ksiądz mi robi awanturę o jednego papierosa. Co ksiądz powiedziałby tym ludziom, o których mówiłem przed chwilą?

– Powiedziałbym, że w ewangelii świętego Mateusza stoi: *Kto by się stał powodem grzechu dla jednego z tych małych... temu byłoby lepiej kamień młyński zawiesić u szyi i utopić go w głębi morza.*

– Tak prosto w twarz?

– Tak, prosto w twarz!

– Odważny ksiądz jest – uśmiechnął się smutno dziadek.

– Cóż jest odważnego w tym, aby powiedzieć prawdę tym wszystkim politykom, dziennikarzom, profesorom...

– Ale ja mówiłem o kimś innym.

– O kim? – zdumiał się młody wikary. Dziadek Łukaszka ze stoickim spokojem strzepnął popiół z papierosa i odpowiedział:

– O hierarchach.

Cytaty zaznaczone kursywą zapożyczyłem z bloga ks. Artura Stopki (<http://ksarturstopka.salon24.pl>)

# GENISŁAW-BROREMEK PATRONEM SZKOŁY

Niestety, nawet podczas świętego czasu wakacji mówi się o szkole. W tym roku temat związany był ze zmianą patrona. Władze uznały, że Stanisław Staszic już nie jest trendy (patriota – obrażał eurofilów, ksiądz – obrażał ateistów, hetero – obrażał gejów itd.) i zaproponowały, aby patrona zmienić. Pojawiło się pytanie: na kogo?

Miasto zawrzało. Padały różne kandydatury. Tragicznie zmarły Stanisław Pyjas. Tragicznie zmarły ksiądz Popiełuszko. Tragicznie zmarła Barbara Blida. Tragicznie zmarły Krzysztof Olewnik.

Media ruszyły do boju, codziennie w lokalnych gazetach i lokalnej telewizji pojawiały się wypowiedzi mieszkańców i sondy uliczne. Swój wkład w historię miasta miał również Gruby Maciek. Jakimś zbiegiem okoliczności pojawił się w ulicznej sondzie telewizyjnej, gdzie napiętym głosem oznajmił, że najlepszym patronem dla szkoły byłby Batman. Następnego dnia Gruby Maciek został zacytowany przez lokalne wydanie „Wiodącego Tytułu Prasowego” (kto się może pochwalić podobnym osiągnięciem w wieku ośmiu lat?). W artykule stwierdzono, że podobne bzdury mogą nadszarpać wizerunek Polski w świecie, że społeczeństwo jest zdezorientowane i należy wskazać mu odpowiedni kierunek poszukiwań. Kierunek wskazano kilka dni później, a dokonał tego były radny miejski (przestał być radnym, kiedy się okazało, że był TW). Były radny miejski wskazał tragicznie zmarłego Genisława-Broremeka – akurat mijała piąta rocznica śmierci profesora.

W weekendowym lokalnym wydaniu „Wiodącego Tytułu Prasowego” ukazał się wywiad z byłym prezydentem Wachem-Lełęsą (od jakiegoś czasu udzielał wywiadów tylko „WTP”). Były prezydent nazwał zmarłego profesora największym polskim politykiem XX wieku. Dodał też, że był dla niego największym autorytetem, nawet przed Janem Pawłem II (ale Ojciec Święty był tuż-tuż za) i że właściwie to Genisław-Broremek jednoosobowo obalił komunizm, a on – Wach-Lełęsa – pełnił jedynie rolę doradczo-pomocniczą. Ot, choćby ten słynny skok przez płot – tak naprawdę to wracał ze sklepu, bo poszedł po zapalniczki do fajki profesora. Sądząc po artykułach „WTP”, Genisław-Broremek już został patronem, a sama procedura to czcza formalność. „WTP” miał już w tym wprawę – po serii artykułów Kucek-Jaroń został patronem chorągwi harcerskiej.

- To Genisław-Broremek będzie patronem mojej szkoły? – zapytał Łukaszek.
- Kto to jest Genisław-Broremek? – zapytała siostra Łukasza.
- Jak można nie znać najświetlejszej postaci polskiej transformacji! – załamała ręce mama. – Polityk, wybitny mąż stanu! Intelktualista! Profesor! Nie żyje!
- Żyd i komuch! – warknął dziadek. – Był w PZPR!
- Żyd i solidaruch! – warknęła babcia. – Zdradził PZPR!

– Ciekawy człowiek, u nas komuna, a on sobie jeździł po świecie – tata uśmiechnął się z przekąsem. Wybuchła kłótnia, w trakcie której pojawiły się nazwiska innych kandydatów na patrona i przywołano ich tragiczną śmierć.

– Słuchajcie, ja mam pewien pomysł – powiedział wreszcie tata Łukasza.  
– To powinien być ktoś lokalny, ktoś stąd, prawda Łukaszu? Co tak kiwasz głową, masz już kogoś na myśli? Tylko błagam, nie mów, że to Batman.

– Przecież Batman nie jest stąd – powiedział Łukaszek poważnie. – Ale ja myślałem o kimś innym.

– No? No kto???

– Pan Sitko! – wypalił Łukaszek. Odpowiedź zwała rodzinę z nóg.

– Co?! – krzyczeli wszyscy. – Mąż dozorczyń? Przecież on żyje! I pije! I pijak! I żul! I pedofil! I peda! I Żyd! I komuch! I krzywo patrzy! I ordynarny jest! I pali fajki w windzie! I pijak! I żul! Dlaczego?

– Bo zjechał się ze schodów i złamał rękę – wytłumaczył Łukaszek. – Pani Sitko mówi, że to prawdziwy dramat, bo musi starego teraz podmywać. Co to znaczy podmy...?

– Stop! – przerwał mu tata. – Chłopie, czyś ty oszalał? Nieważne dla ciebie, że pan Sitko jest... no jaki jest, ty chcesz, żeby był patronem szkoły, bo się zje... bo spotkała go tragedia?

– A wasi to co, lepsi? – zdumienie Łukasza nie miało granic.

# NOTATKA W GAZECIE

Gruby Maciek i Łukaszek siedzieli na podwórku i przeżywali traumę znaną od niepamiętnych czasów – w co się bawić w wakacje? Dorośli w pracy, koleddy na wczasach, a do mieszkania nie bardzo można było iść.

Teoretycznie iść mogli – klucze oczywiście mieli, przypięte albo do spodni, albo powieszane na „smyczy” na szyi. I bardzo ich pilnowali. Na religii, kiedy mieli wymienić coś świętego, okularnik z trzeciej ławki powiedział, że klucze od mieszkania są święte. Książd się zdenerwował, bo okularnik trochę przesadził, ale szczególnie stosunek do tych kawałeczków metalu był faktem.

Zapraszanie kolegi do pustego mieszkania w wakacyjne przedpołudnie było zawsze problemem. Zabawa była fajna, ale się nie opłacała. Łatwo było coś stłuc, nabałaganić, zniszczyć czy popłamić i dorośli bardzo potem krzyczeli. Zresztą nawet jak się nic nie stało, to i tak krzyczeli. A iść samemu do mieszkania – cóż tam można było robić? Oglądać telewizję? Powtórkę Pi i Sigmy albo poradnik zakładania bloga na przykładzie strony gejowskiej (telewizja edukacyjna)? Nawet internet się zdudził na dłuższą metę. Sami pedofile albo policjanci udający pedofilów. Albo laski pytające „CzE sKoNt KlkAsH?”. Albo samotne, trzydziestoletnie urzędniczki administracji państwowej szukające kogokolwiek na męża. Nie, internet odpadał, telewizja odpadała, siedzenie samemu w domu odpadało, pozostawało podwórko i kumple.

Chociaż kumple też się gdzieś porozchodzili, porozjeżdżali i został tylko Gruby Maciek. Siedzieli razem na murku i czuli się okropnie – no wreszcie nadeszły te wyczekiwane wakacje, a oni nie wiedzieli, co robić!

– Stary, róbmy coś, bo czas ucieka – szepnął z rozpaczą Gruby Maciek, patrząc na elektroniczny zegar na dachu wieżowca. Łukaszek też spojrzął, rozejrzał się dokoła i zamarł. Bo wreszcie zaczęło się coś dziać!

Alejką od strony poczty nadchodziła para młodych ludzi. On – wysoki, obwieszony aparatami fotograficznymi, ona z notatnikiem i jakąś podręczną elektroniką w torbie. Rozglądali się na boki, niepewnie mieli kroki, chodzili zygzakami i w ogóle wyglądali podejrzanie. I jakoś tak między nimi, parą a chłopakami zawiązał się kontakt wzrokowy, jedni bezwiednie ruszyli w stronę drugich, drudzy wstali z murku i ruszyli w stronę pierwszych i wreszcie się spotkali.

– Dzień dobry, chłopcy – przywitała się młoda dziewczyna. – Jestem reporterką, a mój kolega jest fotografem. Jesteśmy z gazety „To, Co Jest”. Znacie taką gazetę, prawda?

– Znamy! – zawołali Łukaszek i Gruby Maciek, uradowani, że wreszcie coś się dzieje. „To, Co Jest” oczywiście znali. Tak zwany brukowiec, jedna z najtańszych gazet codziennych na rynku, w wielu miejscach eksponowany na planszach przy kioskach z prasą. U Łukasza nie czytano „TCJ”, twierdząc, że to gównno jakich mało, u Grubego Maćka kupowano, ale co ciekawe – twierdzono to samo.

– Wiecie co, chłopcy? Chcielibyście być w gazecie? – zapytała pani redaktor konspiracyjnym szeptem.

– Jasne... – odpowiedzieli szeptem.

– A rodzice są w domu?

– Nie. Wszyscy w pracy.

– Aha... Sami tu jesteście? No to słuchajcie... – dogadali się szybko. Pani redaktor spisała imiona i wiek chłopców (byli parę razy na wagarach, więc, korzystając z doświadczenia, kategorycznie odmówili podania nazwisk). Potem pan fotograf przygotował sprzęt, a pani reporterka zapytała chłopców, czy są odważni. Odpowiedzieli, że oczywiście są. Zaproponowała, aby pokazali, co potrafią. Nie trzeba było ich długo zachęcać i już wkrótce Łukaszek zwiślał z trzepaka, a Gruby Maciek chodził po murku. Fotograf pstrykał zdjęcie za zdjęciem, a pani reporterka nerwowo rozglądała się wokoło. Po jakimś kwadransie fotograf powiedział, że wystarczy, a pani reporterka powiedziała, że byli bardzo dzielni i jutro przeczytają o sobie w lokalnym wydaniu „To, Co Jest”. I żeby nie mówili nic rodzicom. Pomachali sobie na pożegnanie i rozstali się. Łukaszek i Gruby Maciek byli szczęśliwi – będą w gazecie!

No i faktycznie, byli. Gruby Maciek wyniósł z domu najnowsze wydanie „To, Co Jest” i teraz je oglądali. Wyniósł je bez problemu, bo rodzice nie rozpoznali go na zdjęciach. Bo zdjęcia były, zajmowały prawie całą stronę dodatku miejskiego, ale były jakieś takie rozmazane. Na dodatek mieli czarne paski na oczach. No i podpisy pod zdjęciami też były dziwne. Łukaszek był podpisany jako „Szymon, lat 9”, a Gruby Maciek jako „Czesław lat 10”.

– Czesław, hyhyhy – zarykiwał się ze śmiechu Łukaszek.

– Fakaj się – zdenerwował się Gruby Maciek. – Czytaj lepiej, co tu o nas napisali.

Do czytania było niewiele. Na zdjęciami wielki czerwony tytuł: „Zgroza!!! Oni mogą zginać!!!”, pod zdjęciami wypowiedzi „Szymona” i „Czesława”: „My się tu bawimy codziennie, rodzice o nas w ogóle nie dbają”. A pomiędzy zdjęciami zwisającego z trzepaka Łukaszka i chodzącego po murku Grubego Maćka była krótka notatka. Notatka brzmiała w skrócie tak: „Jezus Maria!!! Jest bieda w tym kraju!!! Rodziców nie stać!!! Żeby dzieci wysłać nad morze!!! Dzieci miastowe siedzą na podwórkach!!! Bawią się na placach zabaw!!! Place są w tragicznym stanie!!! A administracja nic nie robi!!! Oto zabawy dwóch chłopców!!! Każdy z nich mógł zginać!!! Boże, kiedy dojdzie do tragedii?!!!!”.

Łukaszek odsunął od siebie płachtę gazety i przyjrzał się, krytycznie mrużąc oczy.

– Ani to pokazać starym...

– Byłoby lanie – pokiwał głową Gruby Maciek.

– Chłopakom też nie.

– Obciach...

– Możemy zrobić tylko jedno – przejęty Łukaszek złapał Grubego Maćka za rękę. – Zachowamy to w tajemnicy! Nikomu nie powiemy!

– No!

– Przysięgnij!

– Przysięgam! – powiedział ochryple Gruby Maciek, bo dla dzieci taka przysięga – to święta rzecz. Świętsza niż klucze do mieszkania. – A co z tym zrobimy?

– A co normalnie z tym robicie?

– Normalnie to używamy w kiblu jako srajaśmy – Gruby Maciek zamyślił się i skrzywił boleśnie. – Tylko nie można tego papieru składać za bardzo. Bo się można pokaleczyć kantem.



# ANARCHIAAA

## CZĘŚĆ 1

Łukaszek skakał po tapczanie, rycząc „Anarchia! anarchia!” do wtóru piosenki z serialu. Szósta obecnie edycja prezentowała przygody młodego człowieka (w tej roli Kamasz-Torolak) lat trzydzieści dziewięć i pół (pomiędzy sześciu lat trwania emisji), jego syna (Kamasz-Torolak), byłej żony (Kamasz-Torolak), rodziców (Kamasz-Torolak i Kamasz-Torolak) oraz znajomych z zespołu (Kamasz-Torolak Kamasz-Torolak, Pazary-Cezura i Kamasz-Torolak).

– Będziesz ty wreszcie cicho! – ryknął tata i został opierniczony przez mamę.

– Jak możesz blokować rozwój psychiczny naszego dziecka! Jeszcze wyrośnie z niego jakiś... Gierman-Rotychn!

Do pokoju zajrzał kuzyn-kontestator, który akurat wpadł z wizytą. Kuzyn miał dwadzieścia parę lat i studiował zaocznie pakowanie próżniowe, a głównie spędzał czas na jeżdżeniu po Europie i protestowaniu. Znaczący się – alterglobalista.

– Lubisz anarchię? – przysiadł na tapczanie obok Łukasza, łobuzersko mrugnął okiem. – Anarchia jest fajna, nie?

– E... No ja nie bardzo jeszcze wiem, co to jest...

Kuzyn przystępnie wyłożył Łukaszowi podstawy anarchii.

– To tak można? – zapytał wystraszony Łukaszek.

– Oczywiście – zachęcił go kuzyn. Pożegnał się i wyszedł.

Łukaszek zawiązał sobie chustkę na twarzy i poszedł do kuchni, rycząc „anarchiaaaa!”. Tata akurat wyszedł z domu, bo inaczej wysoce prawdopodobne było, że skończyłoby się to laniem. Mama jednak była wyrozumiała i tolerancyjna.

– Och synu, jak ty pięknie demonstrujesz.

– Anarchiaaaa! – darł się Łukaszek, ale wyczuwał, że było coś nie tak. Brakowało mu przełamywania oporu społecznego, o którym wspominał mu kuzyn. Spróbował więc czegoś innego.

– Nie idę jutro do szkoły!

– Oczywiście, synu, są wakacje.

– I śpię do jedenastej!

– Jak chcesz.

– I... I... – zamyślił się Łukaszek, bo chwilowo wyczerpała mu się amunicja. Spojrzał na leżącą na stole gazetę i paroma szybkimi ruchami zamienił ją w strzępy. Mama odwróciła się na odgłos dartego papieru i kiedy zobaczyła, co jej syn zrobił z nieczytanym jeszcze feministycznym dodatkiem do „Wiodącego Tytułu Prasowego” pod tytułem „Dumnie sterczące push-upy”, to krew w niej zawrzała.

– Tego już za wiele! Łukasz! Nie dostaniesz kolacji! Są pewne granice, których przekraczać nie... – i aż się złapała za usta, słysząc, co mówi. Łukasz, świadomie lub nie (raczej to drugie) zadał jej straszny cios, krzyżąc:

– Faszystka!

Wieczorem zadzwonił kuzyn kontestator z pytaniem, jak tam Łukaszowi idzie demonstrowanie.

– Do kitu – pożalił się Łukaszek. – Nie dość, że nie dostałem kolacji, to jeszcze dostałem lanie od mamy. Do chrzanu z taką anarchią, w telewizji to jest inaczej...

W tym momencie kuzyn, chwycony za serce, obiecał Łukaszowi, że pokaże mu piękno anarchii i wprowadzi go w jej tajniki. Kuzyn, co prawda, słyszał o katastrofie, jaką Łukaszek zafundował ciotce artystce, ale pomyślał, że to jednostkowy przypadek, i że jego coś takiego nie spotka.

Mylił się.

# KLAPSY

Z Łukaszkciem był taki problem, że nauczył się czytać. To znaczy najpierw nie umiał, i to długo nie umiał. Przez całą pierwszą klasę dukał z kartki. Ale w drugiej klasie bardzo szybko nauczył się czytać. Dlaczego? Żadne nakazy, starania nie dawały efektu – po prostu Łukaszek odkrył gazety. I to, że w gazetach jest wiele ciekawych informacji. Na przykład, o poszerzeniu praw ucznia. Tylko trzeba było się przebić przez całą gazetę. Na dodatek u Hiobowskich każdy czytywał inne pismo. Łukaszek uznał jednak, że warto, i codziennie rył pracowicie przez cztery gazety, a przez jego mały mózdzek przelewała się opracowana w czterech redakcjach fala informacji. Była też piąta gazeta – „Hedonka”, czytowana przez siostrę Łukaszkę, ale Łukaszek przejrzał „Hedonkę” parę razy i więcej po nią nie sięgał. Na razie nie interesowały go artykuły typu „Zuzia Czadowska z zespołu Mail 72 jest już les!!! A ty?” czy „Udo z zespołu Kyoto Motel zrobił sobie kolczyk na mózgu!”. Łukaszkę interesowały informacje bardziej przyziemne, ale co za tym szło –praktyczniejsze i bardziej opłacalne.

Dzisiaj Łukaszek wytropił bardzo ciekawą informację i umierał z ciekawości, kto i kiedy podejmie ten temat przy obiedzie. Okazało się, że nikt! Łukaszek chodził jak struty przez całe popołudnie, nawet mama to zauważyła. Po niewinnym zapytaniu, co mu jest, Łukaszek eksplodował. Jak to co się stało! Bardzo ważna rzecz się stała!

– O, tu jest – pokazał artykuł palcem na drugiej stronie „Wiodącego Tytułu Prasowego”.

– Dziwne, w innych gazetach o tym nie piszą – zdumiał się dziadek.

– A co tam jest w ogóle? – zapytała babcia. I Łukaszek odczytał:

– Sejm pod przewodnictwem marszałka Sidka-Rakorskiego przegłosował ustawę zgłoszoną przez rząd Schegorza-Grzetyny zakazującą dawania dzieciom klapsów!

– Że też takimi gównami się zajmują – powiedział załamany tata Łukaszkę.

– Ha, ha! – triumfował Łukaszek. – Nic mi nie zrobicie! Koniec z przemocą domową! Teraz będę mógł robić, co chcę! A nie to, co mi każe rodzina! Ha, ha!

– Jeszcze nie wiadomo, co robi prezydent – ostrzegł go tata.

– Łukaszu nie kochasz nas? – zapytał łzawo dziadek, grając podstępnie na nucie sentymentu.

– Niech dziadek da spokój – ofuknęła go mama. – Kochać, też coś! Wzór ma brać z rodziców!

– Rodziców słuchać? – skrzywiła się babcia. – Pawlik Morozow to tylko partii słuchał, ale te czasy już nie wróca...

– I Bogu dzięki – przerwał tata i wysunął nogę do przodu. – Słuchaj mały, masz nas słuchać, bo jak nie...

– To co? – Łukaszek też wysunął nogę do przodu. – Nie wolno ci dać mi klapsa!

– Bo co?

– Bo jak policja wpadnie...  
– Nakablujesz? – tata zmrużył oczy i wykonał ruch jakby opierał dłoń na colcie wiszącym u biodra.  
– W życiu! – zapewnił Łukaszek i zrobił taki sam ruch. – Ale tak będę krzyczał, że sąsiedzi zadzwonią.  
– Ile razy dresy się darły i nikt nie dzwonił...  
– Jak dziecko krzyczy to inaczej. Zadzwonią – upierał się Łukaszek. – A wtedy was wszystkich zamkną. Poza mamą.  
– Kocha mnie – ucieszyła się mama i zaraz poprawiła: – Szanuje mnie! Mam autorytet.  
– Ktoś musi mi zrobić kolację – wyprowadził ją z błędu syn. – Zamkną was i nikt mi nie będzie nic kazał.  
– Nie zamkną – tata zaczął się powoli przysuwać do Łukasza. – Bo ta ustawa mówi tylko o klapsach. A nie mówi nic na przykład o ciągnięciu pyskatych szczeniaków za uszy – i tata zademonstrował. Łukaszek rozdarł się boleśnie. Tata mówił dalej i demonstrował: – I nic nie mówi o szarpaniu za włosy. Ani o kopnięciu w zadek. Ani o przyduszaniu do podłogi. Ani o...  
Dzwonek do drzwi im przerwał.  
– Jakieś debile piszą tę ustawę! – poskarżył się Łukaszek z poziomu dywanu. Przyznali mu rację, wszyscy poza siostrą.  
– Co to jest ustawa?  
– To jest akt prawny – wytłumaczyła jej mama.  
– Akt, to wiem – rozpromieniła się siostra. – Ale prawny? Że niby legalny? Legalna pornografia?  
Nie zdążyli jej poprawić, bo znowu zabrzmiał dzwonek. Mama otworzyła i wszedł pan Sitko, mąż pani Sitko, dozorczyńni. Był nieogolony i trochę pijany.  
– Biję pan dziecko? – zachrypiął, widząc tatę Łukasza przygniatającego Łukasza do podłogi.  
– Biję – potwierdził tata.  
– Może pan mieć problemy – poinformował tatę Łukasza pan Sitko. – Ta ustawa, co ją dzisiaj przyjął Sejm, zabrania dawać klapsy dzieciom.  
– To nie jest klaps, ja go przyduszam do podłogi – wyjaśnił tata Łukasza.  
– Sąd to może różnie widzieć. Ale powiem panu, że ta ustawa dotyczy tylko rodziców. A ja rodzicem dla Łukasza nie jestem, więc jakby co, to może mnie pan zawołać, a ja... za paczkę fajek... no wie pan...  
– Pan wie, co to jest ustawa! – zawołała siostra Łukasza. – Szacun! Pan Sitko uśmiechnął się smutno.  
– Ano wiem... Bo jest taka ustawa... o wychowaniu w trzeźwości...

# SZCZEPIONKA

„Katastrofa!!! Zaraza atakuje!!! Boże, te dzieci umrą!!! Wszyscy umrą!!!” – tak w łagodnym (jak na swoje standardy) tonie gazeta „To, Co Jest” zatytułowała artykuł na pierwszej stronie. Chodziło o nowy wirus kataru, który może być niebezpieczny dla najmłodszych. Co prawda, rodzina Hiobowskich brzydziła się czytaniem „To, Co Jest”, ale wieści przyniósł Gruby Maciek, którego rodzina kupowała tę gazetę. Poza tym tę informację podano później w radiu i telewizji – czyli musiała to być prawda.

Na szczęście podano, jak można się uratować – wystarczy zgłosić się z dzieckiem do najbliższego szpitala po specjalną szczepionkę.

– Szczepionkę finansuje skarb państwa – poinformował dziadek.

– Czyli jest za darmo – uzupełniła babcia.

– Nie ma za darmo, płacę za to z moich podatków – zezłościł się tata.

– Podatki płacisz tak czy tak, a co my z tego mamy? – oburzyła się babcia.

– Kiedyś to zakład ufundował wczasy pod gruszą albo dali talon na syrenkę...

– Czy ja umrę? – zapytał Łukaszek i wszyscy wrócili do głównego tematu.

Zapewnili Łukaszka, że nie umrze, a jeśli nawet, to... Babcia go uświadomiła, że i tak wszyscy umierają, dziadek zapewnił, że pójdzie do nieba, mama, że rodzina będzie o nim pamiętać, tata powiedział, że ma zaraz przestać pierniczyć głupoty, a siostra przysięgła, że z szacunku dla jego pamięci nie będzie tego robić z chłopakami na jego tapczanie.

Potem rodzice zabrali Łukaszka do samochodu i pojechali do szpitala. Strzałki zaprowadziły ich do specjalnego pokoju, gdzie panie pielęgniarki robiły specjalne szczepienia darmową szczepionką mającą zwalczyć specjalny katar. Było tam już trochę dzieci z rodzicami, konkretnie to: Gruby Maciek, okularnik z trzeciej ławki i dziewczynka, która zawsze odzywa się jako pierwsza.

– No, dzieci, które do szczepienia? – zapytała uśmiechnięta pani pielęgniarka.

– Ja! – zawołała dziewczynka, która zawsze odzywa się jako pierwsza, i weszła do gabinetu. Zapadła cisza, przerwana straszonym krzykiem dziewczynki. Pielęgniarka, nadal uśmiechnięta, wyniosła ją na rękach.

– Zemblało biedactwo. Kto następny?

Następny poszedł okularnik z trzeciej ławki. On również krzyknął rozdzierająco, ale nie zemblał, pani pielęgniarka wyprowadziła go za rękę z gabinetu. Uśmiechała się, ale już nie tak bardzo jak przedtem.

– Niby chłopak, a takie miękkie jajo – klepnęła go z rozmachem. Okularnik zatoczył się i upadł. – Następny!

Gruby Maciek próbował się wycofać, ale rodzice profesjonalnie go przytrzymali i przekazali w ręce pielęgniarki. Gruby Maciek wszedł do gabinetu. Wszyscy czekali w napięciu i doczekali się – rozległ się potworny wrzask, który szybko został stłumiony i było słychać tylko niewyraźne rżenie.

Pielęgniarka wyprowadziła Grubego Maćka z gabinetu. Już się nie uśmiechała. Gruby Maciek, puszczonej, przeszedł parę kroków, oparł się czołem o ścianę i zaczął wymiotować.

– No chodź chłopcze – pani pielęgniarka złapała Łukasza za ramię i zaholowała do gabinetu. Tam został profesjonalnie obsłużony: siad na fotel, przewiązanie ręki i wacik. Dalej było już mniej profesjonalnie. Igła od strzykawki została wprowadzona w Łuszkową rękę zbyt głęboko, powodując dotkliwy ból. Łuszek otworzył usta do krzyku, a pani pielęgniarka szybkim ruchem umieściła w nich zwinięty biały ręcznik, który skutecznie stłumił głos Łuszkę. Ręcznik był wilgotny, więc użyty był nie pierwszy raz. Zastryk, wacik.

– Co te smarkacze tak się drą? – mruknęła pani pielęgniarka, zwlekając Łuszkę z fotela. Wyprowadziła go na korytarz, gdzie Łuszkowi rozjechały się nogi. Upadł i dostał drgawek. Okularnika, który toczył pianę, rodzina podnosiła z podłogi, bo sam nie dawał rady. Gruby Maciek przestał już wymiotować, ale był strasznie blady. Dziewczynka, która zawsze odzywa się jako pierwsza, nadal leżała nieprzytomna na ławce. Rodzice zaczęli podejrzewać, że chyba coś jest nie tak.

– Proszę pani... – zaczęła mama Grubego Maćka, ale przerwał jej dzwonek telefonu. Pielęgniarka wycofała się do gabinetu i odebrała.

– Tak to ja – prychnęła w słuchawkę. – Co? Tak. Zrobiłam już cztery szczepionki. Nie najlepiej to wygląda. Co mnie to obchodzi? No to co, że dzwonił z ministerstwa? A wiesz, gdzie ja mam dyrektora? Aha, więc jednak zakazał. I co z tymi szczepionkami? Przecież można nad rzekę w krzaki, jak zwykle. Aha. No dobrze, powiem.

Pielęgniarka podeszła do rodziców. Znow się uśmiechała.

– Proszę państwa. Właśnie otrzymaliśmy wiadomość z ministerstwa. Wirus nie okazał się tak groźny jak zakładali eksperci. W związku z tym szczepienia są odwołane.

– No a nasze dzieci? – rodzice pokazali czwórkę malców.

– W związku z tym, że wirus nie jest tak groźny, mogło się okazać, że szczepionka w sporadycznych przypadkach była zbyt silna. Dlatego chcielibyśmy zatrzymać naszych milusińskich w szpitalu, oczywiście na obserwacji.

Pielęgniarka zaczęła cucić dziewczynkę, a rodzice rzucili się do wyjścia, aby przynieść z domu piżamy, naczynia, kubki, sztućce i jedzenie, czyli same niezbędne w szpitalu rzeczy. Jedynie mama okularnika z trzeciej ławki zapytała cicho pielęgniarkę, czy nie odpaliłaby jej paru takich szczepionek, bo pierwszy raz gówniarz był cicho przez dłużej niż pięć minut i nie zamęczał durnymi pytaniami.

Jeszcze tego samego dnia telewizje podały, że akcję szczepień zarządził wiceminister zdrowia. Co prawda, ministerstwo nie miało zapasów tej szczepionki, ale szczęśliwie pół roku temu sprowadziła ją z Tuvalu firma syna wiceministra, zazwyczaj zajmująca się likwidacją odpadów poubojowych. Na szczepionkę nie było jednak chętnych aż do chwili obecnej. Ministerstwo wykupiło od firmy od razu cały zapas, okazało się jednak, że ten wirus kataru to zwykły wirus. Mali pacjenci szybko wracali do zdrowia, wiedząc, że nawet w razie ataku jakichś potwornych mikroorganizmów szczepienie tą szczepionką już im nie grozi. Akurat dzień później uległa przeterminowaniu i została komisyjnie zniszczona przez firmę należącą do córki wiceministra.

# DEMONSTRACJA W SZPITALU

Po przygodzie ze szczepionką Łukaszek, Gruby Maciek i okularnik z trzeciej ławki zostali w szpitalu. Rodzice dziewczynki, która zawsze odzywa się pierwsza, zabrali ją do domu.

Chłopcy szybko wrócili do zdrowia po niefortunnym zastrzyku i szaleli teraz po całym szpitalu, traktując go jako wielki plac zabaw. Nie mogli sobie wymarzyć lepszej atrakcji na wakacje. Czy może coś się równać ze słodkim dreszczem, kiedy to zakradali się na oddział chirurgiczny i podglądali ludzi po amputacjach (i oczywiście zostali złapani przez pielęgniarki). Albo z myszkowaniem po całym szpitalu – wytropili kuchnię (tam, gdzie najbardziej śmierdziało) oraz przyłapali w jakimś pokoju lekarza z pielęgniarką, jak się obściskiwali. Albo z podglądaniem jakiejś młodej pani, która w załomie korytarza, koło rentgena, rozebrała się, a potem założyła na siebie kitel, mówiąc jednocześnie przez telefon:

– Tak panie doktorze, to ja, przedstawicielka medyczna. Mam dla pana te wycieczki, tylko muszę wejść do pana gabinetu tak, żeby pacjenci się nie zorientowali. Tak, jak ostatnio, już się przebrałam za lekarkę...

No i największa atrakcja – zawody w rzucaniu laczkiem. Trzeba było tak wierznąć nogą, żeby laczek wyleciał wysoko w powietrze. Czyje obuwie poleciało najdalej – ten wygrywał. Chłopcy robili sobie zawody na korytarzu przez pół dnia, kibicował im cały oddział, ale zawody zakończyły się niespodziewanie, kiedy okularnik z trzeciej ławki trafił laczkiem w plecy siostry oddziałowej. Awantura była gigantyczna.

Wreszcie trafili na oddział położniczy. Nie wolno im było wejść, więc popatrywali tylko przez otwarte drzwi i znieścacka dwóch przepychało trzeciego za próg, po czym uciekali ze śmiechem. Zabawa była pyszna, gdy nagle rozległ się głos:

– A co wy tu robicie?

Za nimi stał dziadek Łukaszka z transparentem w wersji sztywnej, czyli z tabliczką przymocowaną do kija w otoczeniu kilkunastu osób z podobnymi akcesoriami. Dziadek często chodził na różne demonstracje, więc z racji niskiej emerytury miał transparent uniwersalny z napisem „Nigdy więcej!”, który pasował do większości wystąpień.

Łukaszek wyjaśnił, co tu robią, i zapytał dziadka, co tu robi. Okazało się, że na oddziale leży pewna dziewczyna, o imieniu Adela, która ma lada chwila rodzić. Ale jej ciąża jest zagrożona i tylko cesarskie cięcie może uratować dziecko. A ona się nie zgadza! Młody wikary z ich parafii, która jest tuż obok, zorganizował demonstrację i przyszli bronić życia. Normalnie zorganizowałby proboszcz, ale od kilku dni jest strasznie zajęty i trudno go złapać.

Grupa dziadka sformowała szyk na wprost wejścia na oddział, wzniosła transparenty i zaczęła demonstrować. Śpiewali, tańczyli, klaskali, wznosili

po krzepiające okrzyki. Zebrało się trochę publiczności, pojawił się też jakiś młody dziennikarz. Z oddziału wyszła lekarka, profilaktycznie opierniczyła Łukaszkę i jego kolegów (byli już znani w całym szpitalu) i poprosiła, żeby nie robić cyrku w szpitalu, bo kobiety chcą rodzić w spokoju.

– To nie jest cyrk! – oburzył się młody wikary. – Walczymy o życie! Ura-tujcie dziecko Adeli!

Pani doktor wyjaśniła, że jeśli chodzi o cesarskie cięcie, to musi się na nie zgodzić matka dziecka.

– To czemu się nie zgadza? – zapytał dziennikarz.

Pani doktor powiedziała, że nie wie, ale domyśla się, że winę ponosi za to ojciec dziecka, który od kilku dni długo przesiaduje przy łóżku matki i ciągle o czymś z nią rozmawia.

– To my z nim porozmawiamy! – zakrzyknęli demonstrujący.

– No właśnie go szukam, bo żona go prosi – pani doktor rozejrzała się po korytarzu i zakrzyknęła: – Halo! Ojciec dziecka Adeli! Proszę pana na oddział!

Jakiś starszy, pulchny pan przemknął pod ścianą jak błyskawica i chciał wejść na oddział, ale pani doktor zatrzymała go w drzwiach i przypomniała, że musi założyć ochraniacze na obuwiu. Kiedy starszy, pulchny pan z wysiłkiem zginał się i zakładał folię na but, został osaczony przez demonstrację.

– O, ksiądz proboszcz! – ucieszył się młody wikary. – Dobrze, że ksiądz proboszcz wreszcie tu do nas dotarł, razem musimy zmanifestować nasze poparcie dla życia, pogadać z tym ojcem potworem, który nie pozwala nowej istocie przyjść na świat! A... czemu ksiądz proboszcz bez koloratki?

– No idzie ojciec dziecka czy nie, Adela czeka! – krzyknęła z głębi oddziału pani doktor. Ksiądz proboszcz wyprostował się, uśmiechnął niewyraźnie, kiwnął głową młodemu wikaremu, ruszył truchtem i zniknął za załomem korytarza.

Zapadła cisza przerwana piskiem (wydanym przez szczęśliwego dziennikarza) i łomotem (dziadek Łukaszkę upuścił transparent).

– Gdzie jest ten ojciec dziecka? – dopytywali się zupełnie nie na miejscu Łukaszek i jego koledzy. Młody wikary był tak oszołomiony, że popełnił błąd życia i udzielił dziennikarzowi wywiadu, po czym popełnił drugi błąd życia i powiedział w wywiadzie prawdę.

Jak zakończyła się ta historia? Adela zgodziła się na cesarskie cięcie i urodziła zdrową dziewczynkę. Po krótkim czasie wyjechała razem z dzieckiem do Irlandii. Może to dlatego, że grupa demonstracyjna dziadka uznała ją winną całej sytuacji i demonstrowała pod jej domem (transparent dziadka znowu pasował!). Dziennikarz napisał serię obszernych artykułów, pełnych pikantnych detali, za które dostał premię i pochwałę szefa. Wystąpił nawet w radiu, ale przeniesienia do Warszawy, na które tak liczył, nie dostał. Za to przeniesli księdza proboszcza do parafii na tzw. ścianie wschodniej. Młody wikary dostał odpowiedzialne zadanie zorganizowania misji na pustyni Atacama. Łukaszek, Gruby Maciek i okularnik z trzeciej ławki zostali natychmiast wypisani ze szpitala. Byli zdrowi, jedynie u Łukaszkę zmniejszył się szacunek dla księży, lasek i w ogóle dla dorosłych.

Chociaż wydawało się to niemożliwe.



# BIEDNE, MAŁE, CHIŃSKIE DZIECI

## CZĘŚĆ 1

Łukaszek i Gruby Maciek po wyjściu ze szpitala znowu zaczęli się nudzić. Pochodzili po osiedlu, zajrzeli tu i tam. I kiedy wrócili pod blok, okazało się, że rodzice Grubego Maćka dokądś jadą i zabierają syna ze sobą. Łukaszek został sam. Zachciało mu się pić, ale wołał nie wracać do domu – zaraz zostałby zagoniony do sprzątanania czy zakupów. Wydłubał z kieszeni resztkę zaoszczędzonej tygodniówki i poszedł do osiedlowego sklepiku. Przystudiował dokładnie ceny na puszkach z napojami gazowanymi i stwierdził, że jest drogo. Poinformował o tym pana sprzedawcę, czym wprawił go w furję.

– Jak ci się nie podoba, gówniarzu, to nie kupuj!

– Nie podoba mi się – powiedział Łukaszek, uwieszając się na drzwiach, co dodatkowo irytowało pana sprzedawcę. – I pan też mi się nie podoba. Ja pójdę kupić sobie picie w markecie osiedlowym, a u pana nie.

– A kupuj se!

– I powiem Grubemu Maćkowi, żeby też u pana nie kupował. I rodzicom też. I babci, i dziadkowi też. I siostrze – powiedział Łukaszek i poszedł, a pan sprzedawca został z myślą, że stracił kilku tam potencjalnych klientów.

Łukaszek powędrował do marketu, stanął przed lodówką i, wahając się pomiędzy Pierwszą Colą a Drugą Colą, wybrał puszkę tej pierwszej. Sącząc z wolna zimny roztwór kwasu ortofosforowego, wrócił pod blok i wpadł – z okna zawołała go mama. Wjechał windą i wszedł do mieszkania. Nie dowiedział się, czego od niego chcieli, bo już w korytarzu siostra zobaczyła, co trzyma w ręku, i podniosła krzyk. Zaciągnęła go do kuchni, gdzie siedzieli mama (gotowała kuskus), babcia (kisiła ogórki) i dziadek (otwierał konserwę turystyczną bagnetem, pamiątką z września 39, i pomimo ostrzeżeń, że w końcu zrobi sobie krzywdę, nie sięgał po otwieracz).

– Mamo, mamo, on pije Pierwszą Colę!

Mama zaniemówiła ze zgrozy, ale tylko na chwilę.

– Łukasz! Jak możesz!

– Pić takie świństwo! – dodał dziadek.

– Imperialistyczne! – pojechała Ważykiem babcia.

– Ale o co chodzi? – zdziwił się Łukaszek. Mama wyjaśniła mu, że wszyscy bojkotują Pierwszą Colę, ponieważ produkująca ją firma wykorzystuje biedne, małe, chińskie dzieci!

– Nie wiedziałem – stropił się Łukaszek.

– Jak mogłeś nie wiedzieć! – siostra Łukaszka wyczuła rzadką okazję udowodnienia, że jest mądrzejsza od swojego młodszego brata. – W „Hedonce” o tym piszą!

– Olewam „Hedonkę” – rzekł Łukaszek z godnością. – Jak to: firma wykorzystuje dzieci?

– Widzisz Łukaszu – mama kucnęła przed nim i wzięła go delikatnie za rękę. – Świat, ten nasz świat, na którym przyszło nam żyć, jest niesprawiedliwy społecznie. Rozumiesz?

Niestety, Łukasz nie zrozumiał. Mama spróbowała prościć.

– Na świecie nie ma wszystkiego równo, prawda? Ale na szczęście są ludzie, którzy walczą o to, aby ci, co mają coś... y... najwięcej, podzielili się z tymi, co mają najmniej. A najmniej mają biedne, małe, chińskie dzieci!

– Najmniej czego?

– Wszystkiego! – mamie zaczęła latać powieka. – Wszyscy ludzie są równi, więc powinni mieć wszystkiego równo!

– Oceny też powinny być równe? – zapytał niewinnie Łukaszek.

Mama wyczuła podstęp, ale żeby nie wstrzymać rozmowy, powiedziała:

– No przyjmijmy, że też.

– Hurra, nie musiałbym się uczyć! – Łukaszek zaczął tańczyć po kuchni.

– Jak to? – zdumieli się wszyscy.

– No bo po co, jak oceny byłyby równe?! – uradowany Łukaszek nie mógł pojąć, że dorośli nie widzą tak oczywistej rzeczy.

– A jeśli te oceny byłyby owszem równe, ale negatywne? – próbowała ratować sytuację babcia.

– A tam, zawsze się znajdują tacy, co lubią się uczyć, zresztą i tak moja klasa ma wysoką średnią, niech się uczą inni – Łukaszek śmiało rozwijał teorię szkolnego socjalizmu. Mama zaprotestowała.

– Łukasz, wróćmy do rzeczy materialnych, do tego, co posiadamy. Spróbujmy innego przykładu. Jakie tata Waldka ma auto?

– Volvo!

– A my jakie mamy?

– Ładę. A pani Sitko nie ma wcale auta, bo mówi, że jej stary...

– Nie mieszajmy do tego pani Sitko! – zdenerwowała się w końcu mama.

– Jakbym gadała z twoim ojcem! On też nigdy nie widzi prawdziwego sedna problemu! Jeżeli my mamy ładę, a tata Waldka ma volvo i jest to nierówno, to jak by to było, gdyby było równo?

– Mielibyśmy pół łady i pół volvo – powiedział Łukaszek.

– Głupek – zachichotała siostra – wszyscy mielibyśmy volvo.

– A gdzie podziałyby się wszystkie łady? – zgasił ją Łukaszek.

– Nie gniewaj się, kochana, ale to tylko teoria, w praktyce są zawsze te... no... wypaczenia – powiedziała babcia do mamy. – Wszyscy mielibyśmy łady.

– Guzik prawda – burknął dziadek, który otworzył wreszcie konserwę. – Wszyscy chodzilibyśmy pieszo, jak pani Sitko. A volvo mieliby ci, co pilnowaliby, żebyśmy wszystko mieli po równo.

I dziadek został wyrzucony z kuchni.

# BIEDNE, MAŁE, CHIŃSKIE DZIECI

## CZĘŚĆ 2

Łukaszek obracał w rękę pustą już puszkę po napoju gazowanym. Nadal miał wątpliwości.

– Jak firma wykorzystuje biedne, małe, chińskie dzieci? – zapytał.

Babcia prędko dokręciła słoik z ogórkami i pospieszenie opuściła kuchnię. Wiedziała, że gdy wnuk zacznie pytać, to pytania zadaje niewygodne, drażące, próbuje logicznie wiązać odpowiedzi, słowem – byłby gwiazdą niejednej sejmowej komisji śledczej.

Mama została w kuchni. Po pierwsze z poczucia obowiązku. Ktoś musi odpowiadać na pytania dziecka, po to, żeby odpowiedzieć właściwie bądź wskazać kierunek, w jakim należy owej odpowiedzi szukać. Strach pomyśleć, co by było, gdyby dziecko poszło z pytaniami na podwórko – przecież tam mógłby mu odpowiedzieć jakiś... Gierman-Rotychn! I już światopogląd dziecka spaczony i lata trudu wychowawczego na nic! A po drugie, mama ufała argumentom, które wyczytała w „Wiodącym Tytule Prasowym”, przecież nie mógł jej zagiąć jakiś ośmiolatek!

Siostra też została w kuchni. Nie kierowała się żadnymi głębszymi motywami (zresztą były jej obce), była jedynie ciekawa.

– No to jak Pierwsza Cola wykorzystuje biedne, małe, chińskie dzieci? – ponowił pytanie Łukaszek.

„Napój! A może nie, puszka! Napój! Puszka! Napój czy puszka?” – biła się w myślach mama. Chwilę wahania wykorzystwała siostra Łukaszka.

– Małe, biedne, chińskie dzieci robią ten napój! Biegają w fabryce, noszą paczki z... z wodą... I... Y... Stoją przy kociołkach... – improwizowała ostrożnie. – Na taborecikach, bo Chińczycy są mali, a to są dzieci, a więc są jeszcze mniejsze. I małymi, chińskimi chochelkami mieszają tą colę...

– Ale bzdura – Łukaszek popatrzył na nią z politowaniem. – Jak zwiedzałeś browar, to widzieliśmy, jak się robi coś takiego. Jadą puszki na taśmie i cyk-cyk, samo się nalewa i zamyka. Automat. A piwa też nikt nie miesza tylko automaty robią. Kto by mieszał tyle piwa – wzruszył pogardliwie ramionami.

Siostra usiadła zdruzgotana. Skąd ten ośmiolatek tyle wie?

– Kiedy ty zwiedzałeś browar? – zaatakowała czujnie mama.

– W zeszłym tygodniu. Mnie i Grubego Maćka zabrał...

– Pan Sitko?

– Tak, a skąd wiecie?

– Zgadłam, to było jedyne możliwe wyjaśnienie. A czemu browar?

– Bo zwiedzanie jest gratis i po zwiedzaniu można wypić jedno piwo gratis. I pan Sitko często chodzi zwiedzać browar. A pani Sitko mówi, że jej stary...

– Zostawmy panią Sitko w spokoju! – krzyknęła mama. – Łukasz, mówiliśmy o bardzo ważnej rzeczy, o tym, jak globalizacja wykorzystuje biedne, małe, chińskie dzieci!

- Firma – poprawił Łukaszek.
- No firma.
- To jak wykorzystuje?
- Puszka – natchnęło mamę. – Biedne, małe, chińskie dzieci robią puszkę.
- Robią? – zdumiał się Łukaszek oglądając puszkę. – Jak?
- Puszka jest z e... aluminium. I one tą puszkę e... polerują. Od środka.
- Dlatego tylko dzieci dają radę. Bo tylko ich rączki się mieszczą.
- Łukaszek zajął do środka przez dziurkę. Potem spróbował włożyć palec.
- Wszedł tylko najmniejszy.
- Ja nie daję rady. Jak one to robią? – dopytywał się.
- E... No one to robią przed nałożeniem wieczka – mama otarła pot z czoła.
- To puszka się rozejdzie, bo nie będzie trzymana z jednej strony.
- No to widocznie polerują, jak jeszcze jest to arkusz.
- Arkusz? – zamyślił się Łukaszek. – To wtedy dzieci nie muszą nigdzie zmieszczać rączek, prawda? Czyli dorośli też daliby radę?
- Łukasz! – mama zatrzęsała się z oburzenia. – Ale dobrzy ludzie z organizacji humanitarnych...
- ...pomagają biednym, małym, chińskim dzieciom! – zdążyła wstrzelić się siostra.
- Nie! To znaczy tak! Też! – zaplątała się mama. – Ale ci dobrzy ludzie wytropili i udowodnili bezspornie, że to biedne, małe, chińskie dzieci są wykorzystywane!
- To co ja mam robić? – wystraszył się Łukaszek.
- Możesz pić Drugą Colę – odpowiedziała siostra.
- Oni nie wykorzystują biednych, małych, chińskich dzieci?
- No oczywiście, że nie!
- Dziwne, przecież widziałem Drugą Colę w puszkach... – zamyślił się Łukaszek.
- Bo Druga Cola jest w puszkach.
- Oni nie wykorzystują biednych, małych, chińskich dzieci?
- Nie – odparła z mocą mama. – Dobrzy ludzie z organizacji humanitarnych to sprawdzili. Tylko Pierwsza Cola to robi. I my musimy być przeciwko temu i wyrazić to. Musimy być solidarni z ofiarami, bo są to dzieci, bezbronne, które nie mogą same walczyć o swoje prawa. A są to dzieci chińskie, bo są małe i biedne i za jedną bułkę, słyszysz Łukasz, za jedną bułkę dziennie to robią. Jakbyśmy nie kupowali...
- ...to by nawet tej bułki nie miały – znów wstrzeliła się z komentarzem siostra Łukasza, która chciała dobrze, wyszło jak zwykle i została wyrzucona z kuchni.

# **BIEDNE, MAŁE, CHIŃSKIE DZIECI**

## **CZĘŚĆ 3, OSTATNIA**

Puszka po napoju gazowanym, zwanym Pierwsza Cola, stała jeszcze na stole. Łukaszek nadal nie mógł przyjąć do wiadomości obowiązującego w pewnych kręgach aksjomatu, że przy produkcji Pierwszej Coli wykorzystuje się biedne, małe, chińskie dzieci, a przy produkcji Drugiej Coli – już nie.

– To prawda, uwierz mi – powtarzała mama Łukaszką.

– Ale jak, jeśli dzieci polerują te puszkę, jak puszkę są arkuszami, to mogą to robić dorośli, a jeśli...

– Łukasz, to nieistotne. Nie rozumiesz tego?

– Jak to nie, jeśli jest to nieprawda, to cała reszta...

– Łukasz, jeśli ktoś ci coś mówi, ktoś od ciebie starszy, mądrzejszy, o większym doświadczeniu, to musisz mu ufać!

– A jeśli to bzdura? – nie poddawał się Łukaszek.

– Jakbym z twoim ojcem gadała! Też tak musi drażnić do ostatniej śrubki. Łukasz, w dzisiejszym świecie jest takie nagromadzenie informacji, że nie jesteś w stanie samemu stwierdzić, czy coś jest prawdziwe, czy nie. Sprawdzanie samemu wszystkiego również zabrałoby ci zbyt dużo czasu. Więc... – mama zawiesiła głos i podniosła ręce jak kapłan w kościele podczas mszy. – Więc są autorytety! Ludzie mądrzy, rozumni, doświadczeni, eksperci w wąskich wycinkach wiedzy i to, co powiedzą, to jest prawda!

– A... skąd wiadomo, kto jest autorytetem?

– Jeden wskazuje drugiego, oni się zazwyczaj znają. Nie ma ich zbyt wielu – westchnęła mama. – I co, wierzysz mamie?

– Ale mammo...

– Łukasz, wierzysz mamie, że Pierwsza Cola wykorzystuje biedne, małe, chińskie dzieci?

– No przecież jak...

– No wierzysz czy nie? Pamiętaj, jestem twoją matką! Czyżbyś matce nie wierzył, matki nie kochał? Kto jak nie matka? Będę płakać!

– Nnnnnno dobrze... – zgął się Łukaszek.

– Świetnie – zaszczebotała uradowana nagle mama i klasnęła w ręce.

– Będą jeszcze z ciebie ludzie. A teraz powtarzamy razem dziesięć razy: „Pierwsza Cola wykorzystuje biedne, małe, chińskie dzieci”.

Powtórzyli.

– Mam nadzieję, że pamiętasz, że Pierwsza Cola płaci biednym, małym, chińskim dzieciom tylko jedną bułkę dziennie?

– A dlaczego Pierwsza Cola tyle kosztuje? – Łukaszek wskazał na nalepkę z ceną na puszcze. Cena wielokrotnie przewyższała wartość jednej bułki.



– A, bo biedne, małe, chińskie dzieci są też wykorzystywane przez pośredników, którzy kupują te puszkę od Pierwszej Coli i sprzedają w sklepach. Podbijają cenę, żerują na zysku, a biedne, małe, chińskie dzieci cierpią!

– Czy mogę iść na podwórko? Chciałbym...

– Tak, oczywiście, synu! Rozgłoś tą nowinę wszystkim, niech iskra protestu leci w świat! A przy okazji weź tę puszkę i wyrzuć ją do śmieci. I nie mów, że ją kupiłeś, tylko że znalazłeś. A teraz idź! – Łukaszek poszedł, a mama opadła na krzesło i zaszkliły jej się oczy, bo już widziała siebie w artykule w „Wiodącym Tytule Prasowym” z dopiskiem „inicjatorka protestu”.

Łukaszek jechał w dół windą, tuląc do siebie puszkę i powtarzając, że biedne, małe, chińskie dzieci są wykorzystywane..., ale zapomniał przez kogo. Na szczęście na dole przed blokiem stał pan Sitko. Dopalał papierosa, a jego lekko zmrużone, opuchnięte oczy od razu wypatrzyły, że Łukaszek coś ma. Łukaszek oświadczył, że jest to puszkę i że idzie ją wyrzucić.

– A co będziesz specjalnie chodził, zrobię to za ciebie – powiedział uprzejmie pan Sitko, usiłując sobie przypomnieć, ile kosztuje kilogram aluminium w pobliskim punkcie skupu złomu. Łukaszek wręczył mu puszkę i zadał pytanie, które chodziło mu po głowie:

– Jak się nazywa ktoś, kto wykorzystuje małe, biedne dzieci?

Pan Sitko o mało nie połknął papierosa i zaczął strasznie krzyczeć. Ostrzegł Łukaszkę, że taki ktoś to pedofil i ma trzymać się jak najdalej od takiego kogoś i zaraz powiadomić innych dorosłych. I spytał o detale. Łukaszek

opowiedział mu całą rozmowę z mamą, ale – ciekawa rzecz – o ile pan Sitko zrozumiał wszystko, o tyle Łukaszowi wszystko się poplątało.

Efekt był taki, że pan Sitko nie zgniótł puszkę obcasem, jaki miał zamiar, lecz stanął z nią pod marketem osiedlowym i zaczął kwestować na rzecz biednych, małych, chińskich dzieci. Natomiast Łukaszek udał się do sklepu osiedlowego, gdzie niedawno został wyzwany od gówniarzy. Wtargnął do wnętrza i nie bacząc na kolejkę emerytek i emerytów dopchał się do kontuaru. Tam spojrzął na pana sprzedawcę i rzucił mu w twarz:

– Pan codziennie wykorzystuje biedne, małe dzieci za bułkę i puszkę Pierwszej Coli!

Zapała cisza, a Łukaszek stwierdził, że chyba tam jeszcze powinno być „chińskie”, ale powiedział tyle wyrazów, że jeden więcej czy mniej nie robi chyba różnicy.

– Kto tak twierdzi? – zapytał pobladły pan sprzedawca.

– Autorytety! – wypalił Łukaszek. Rozejrzał się bystro dokoła i instynkt właściwy większości ośmiolatków podpowiedział mu, że coś jest nie w porządku. Na wszelki wypadek więc uciekł.

W sklepie wybuchł tumult. Emerytki i emeryci, krzycząc „ratunku, pedofil!”, gwałtownie opuścili sklep. Nie bardzo wiadomo dlaczego, bo przecież, gdyby nawet pan sprzedawca był pedofilem, akurat im nic by nie groziło. Poza tym nie wszyscy uciekający stracili głowę, bo z lady zginął karton baterii i dwie paczki prezerwatyw.

Przyjechała policja, ale funkcjonariusze stwierdzili, że nie zajmą się ani strasznym oskarżeniem rzuconym przez Łukasza, ani straszną kradzieżą w sklepie. Za to zaopiekowali się panem Sitko. Pan Sitko zbierał pod osiedlowym marketem na wsparcie biednych, małych, chińskich dzieci. Jednak kiedy uzbierał sześć złotych, skierował się do stoiska monopolowego, gdzie nabył wino. Akurat kończył to wino na zapleczu marketu, gdy zaskoczyli go policjanci w towarzystwie pewnej emerytki. Emerytka, trzęsąc się z oburzenia, wskazywała pana Sitko palcem i buczała:

– Ja mu dałam na biedne, małe, chińskie dzieci, a on..., a on...

Pan Sitko uśmiechnął się przeprasząco i rzekł:

– Właśnie piłem ich zdrowie...

# O WOJSKU

– Auuuuuuu!!! – darł się Łukaszek. Siedział w kuchni na krześle, lewą ręką miał położoną na stole, a babcia z lubością przemywała mu skaleczony łokieć wodą utlenioną. Łokieć był paskudnie zdarty, a kontuzja ta była efektem paskudnego faulu na osiedlowym boisku. Łukaszek, grający w ataku został brutalnie podcięty i na tym zakończył się jego udział w spotkaniu. Doczłapał do domu, gdzie zajęła się nim babcia. Nie był to najlepszy wybór, babcia była, delikatnie mówiąc, mało delikatna. W domu była specjalistką od tak zwanej mokrej roboty: zabijania kur, patroszenia ryb i tak dalej. Nic więc dziwnego, że Łukaszek z niechęcią powierzył jej swe ramię i teraz nie mógł się pozbyć wrażenia, że babcia z jakąś taką lubością polewa watę wodą utlenioną.

– Auuuuuuu!!!

– Oj, taka ta młodzież delikatna teraz – westchnęła z dezaprobatą babcia, przyciskając jedną ręką watę z całej siły do rany, a drugą ręką wyrwijącego się wnuka do oparcia krzesła. – A kiedyś... Kiedyś, jak czerwonoarmista stracił nogę, to ino spirytu popił, tytoniem zakąsił i leciał dalej!

– Po zegarki – wtrącił złośliwie dziadek, który niby to nastawiał telewizor, ale wszystko słyszał.

– Po zwycięstwo! – obruszyła się babcia! – Pędzili ubić tego faszystowskiego zwierza...

– ...z którym wcześniej podpisali układ...

– Oj, słabyś chłopcze – mówiła babcia do pobladłego Łukaszką, ignorując dogadywanie dziadka. – Co to będzie, jak cię wezmą do wojska.

– Nie wezmą – odezwał się dziadek. – Przecież mamy armię zawodową. Musiałby się zgłosić sam na ochotnika.

– Mógłby. W mundurze każdy chłop przystojny – rozmarzyła się babcia, rzuciła okiem na dziadka i poprawiła: – No, prawie każdy.

– Wojsko to honor – rzekł dziadek.

– A tam, ty, stary, to zawsze coś takiego wydumanego powiesz. Wojsko to służba, to obowiązek, granic trzeba pilnować.

– Granic nie ma, w kołchozie płot niepotrzebny – rzekł z sarkazmem dziadek. – Wojny zresztą też u nas nie ma, i chwała Bogu. Naszych żołnierzy wysyłają daleko, na misje pokojowe.

– O, właśnie – ucieszyła się babcia. – Świat by zobaczył, suweniry przywiózł...

– Prędzej kulkę by zarobił – sprostował brutalnie dziadek. – To nie takie proste, jak się wam wydaje, tam do nich strzelają, oni strzelają, a jak człowiek strzela, to Pan Bóg kule nosi i zdarza się, że czasem giną niewinni ludzie.

– Widać źle ten Pan Bóg nosi – zakpiła babcia.

– Cicho! Nic nie słyszę, co jest w telewizji! – dziadek zrobił unik i zwiększył głośność. Akurat zaczęły się wiadomości, mówili o procesie, który właśnie się zakończył.



– ...po latach trwania zakończył się wreszcie proces polskich żołnierzy oskarżonych o ostrzelanie afgańskiej wioski pełnej cywilów. Żołnierze, którzy strzelali, zostali skazani, jednak ich dowódcy zostali uniewinnieni. Sami żołnierze twierdzą, że tylko wykonywali rozkazy. A oto idzie jeden z oficerów, może pan powie coś do kamery, był pan przecież jednym z ich przełożonych...

– No to już koniec. Mam nadzieję, że w sądzie już się nie spotkamy. Co najwyżej w knajpie przy wódce i zakąsce, bo na to mnie jeszcze stać – powiedział oficer i, wymijając stojące koło niego pełne niemego bólu rodziny ofiar, wyszedł z kadru.

# CHWILA ROMANTYZMU

Siostra Łukaszka nie lubiła czytać książek. Właściwie to książki ją nawet śmieszyły, no bo jak w takim małym czymś zamknąć otaczający nas świat? Nie można tego powiedzieć? Albo jeszcze lepiej – pokazać? Przecież film jest lepszy, bo po co pisać, skoro od razu widać. A serial – jeszcze lepszy, bo jak coś powtórzą parę razy, to łatwiej zrozumieć, a i do bohatera można się przyzwyczać. A film – to tak tylko przeleci.

Czytanie książek bardzo ją nużyło. Literki skakały przed oczami, nie chciały układać się w wyrazy, wyrazy nie chciały układać się w zdania. Może czytałam złe książki – myślała sobie, słysząc innych, zachwycających się tą czy tamtą książką. Kiedy rozmawiała z kimś, wiedziała o czym ten ktoś mówi, czego może się spodziewać, jaki będzie za chwilę następny wyraz. W książkach każde następne słowo było dla niej zaskoczeniem, musiała zatrzymać się, przypominać poprzednie i składać z nich zdanie, a ze zdania łapać myśl. To męczyło.

Z książkami były same problemy. Nie dość, że bohaterowie byli dziwni i dziwnie się nazywali, to jeszcze dziwnie mówili. I o dziwnych rzeczach, zupełnie innych, niż to, o czym się mówi w domu czy na ulicy. To tak jakby pogawędkę ze znajomą zastąpić rozmową z Chińczykiem albo astronomem. I jeszcze zazwyczaj akcja działa się dawno temu albo bardzo dawno temu. Po co czytać, opowiadać o czymś, co było kiedyś? Wszystko dzieje się tak szybko, trudno spałiętać, co było wczoraj, przedwczoraj, a tu jakieś historie sprzed lat? Po co to komu?

Tak więc siostrę Łukaszka książki po prostu nudziły. W żadnym aspekcie nie zającebiały się o jej życie i siostra traktowała je tak: są, ktoś ich używa, ale dla mnie są kompletnie nieprzydatne. Siostra Łukaszka obojętnie mijała księgarnie, co najwyżej rzucając okiem na rozłożone kolorowe okładki „500 najlepszych amerykańskich porad dla hodujących piwonie” czy „Przewodnik po Wyspie Chrzęszczewskiej, tom ósmy”.

Ale któregoś razu siostra Łukaszka rzuciła okiem na wystawę mijanej księgarni i przystanęła. Nawet o tym nie myślała, tylko jej oko zarejestrowało obraz i jej nogi same się zatrzymały.

To była okładka jakiejś książki dla dziewczyn. Nie fotografia, rysunek, taki trochę komiksowy, bardziej dziecięcy, prosty. Granatowe niebo z żółtymi gwiazdkami i żółtym księżycem w pełni. Pod niebem spiczaste, szare dachy i beżowe ściany starego miasta. I wieża Eiffela w tle. Na dachu siedziała sobie krótko obcięta dziewczyna w brązowych włosach, smutno uśmiechnięta, ubrana w jakąś śmieszna, niemodną sukienkę i rozpięty płaszcz. W rękach trzymała skrzypce i smyczek, tak jakby przed chwilą przestała grać. I jeszcze w rogu widać było kota, szaroburego, odwróconego plecami.

Ta okładka nie była ani specjalnie ładna, ani specjalnie interesująca, ale tak zaciekaowała siostrę Łukaszka, że poczuła, że musi wejść i musi zobaczyć co to za książka. Weszła do księgarni i czując zażenowanie wzięła książkę

do ręki. Ale inni ludzie też tak robili, a poza tym czuła, że musi zobaczyć, o czym jest ta książka.

Przekartkowała ją, wpadły jej w oko czarnobiałe ilustracje, szkice właściwie, już nie tak ładne jak okładka. Rozczarowała się lekko, przewertowała ją jeszcze raz, tym razem wolniej, łapiąc tytuły rozdziałów, poszczególne wyrazy, zdania. O dziwo, czytało jej się lżej niż zwykle, ale rozczarowanie postępowało. Tam nie było nic nadzwyczajnego, jakaś miłość, muzyka, znajomi, wyjazd do szkoły we Francji... Główna bohaterka też jakaś taka nie bardzo... Ani ładna, ani zgrabna, niezgrabna, może i sympatyczna, ale taka jakaś... staromodna...

Odłożyła książkę powoli na miejsce i jeszcze raz spojrzała na okładkę. Tak, okładka była bardzo fajna, nadal jej się podobała. Gdyby tak usiąść koło tej dziewczyny, ta może by coś zagrała, ona by jej coś opowiedziała... Poczuła, że jakoś polubiła tę rysunkową dziewczynę, od pierwszego spojrzenia. I że chętnie zostawiłaby wszystko, wszystkich i usiadła sobie wieczorem na dachu, by przy dźwiękach muzyki – a niech nawet będą te skrzypce – popatrzeć w gwiazdy.

Po powrocie do domu zasiadła do komputera, znalazła w internecie okładkę tej książki i wydrukowała ją sobie. Ukradkiem złożyła i schowała do swojej plastikowej, różowej torebki. Nie wiedziała sama, dlaczego robiła to ukradkiem. Bała się, że gdy rodzina to zobaczy, to będą się z niej śmiali i drwili. Często tak robili, gdy coś powiedziała czy zrobiła, i przywykła już do tego. A ta okładka jakoś tak – znaczyła dla niej wiele.

Od tej pory cały czas nosiła przy sobie w torebce złożoną kartkę formatu A-4 z wydrukowaną okładką książki. Kiedy było jej źle, kiedy miała chwilę czasu, kiedy czekała na coś i nie miała co robić – dawniej wyjmowała komórkę i po prostu bawiła się nią. A teraz wyjmowała kartkę, rozkładała ją i wpatrywała się w nią zachłannie, chłonąc każdy detal. I jakoś jej się robiło lżej, spokojniej, weselej. Kartka gniotła się, naddzieraała, wycierała w zagięciach. I kiedy siostra Łukaszka myślała już o tym, żeby ponownie wydrukować tę okładkę, trafiła tam.

Oczywiście, że to nie było to miejsce, bo przecież na okładce książki była wieża Eiffela. Ale było bardzo podobne. I ściany, i dachy. I kot nawet był. Dziewczyny tylko nie było. I pora była podobna. I niebo granatowe i gwiazdy i księżyc. Bo pora była już późna.

Siostra Łukaszka zatrzymała się bezwiednie – jak wtedy pod księgarnią. Drżącą ręką wyjęła z torebki kartkę i rozprostowała ją. Obejrzała ją w świetle ulicznej latarni, a serce biło jej mocno. Zgadzało się prawie idealnie. Przepelniło ją poczucie szczęścia, jakby znalazła coś po długim poszukiwaniu. Wydawało się, że lada chwila i na dachu pojawi się dziewczyna ze skrzypcami...

Nie pojawiła się. Z boku rozległy się głosy i głośny, wulgarny śmiech. Po drugiej stronie ulicy, na schodach prowadzących do drzwi kamienicy siedziało kilku chłopaków i popijało piwo z puszek. Młodzi, wygoleni, w sportowych strojach. Zazwyczaj tacy jej się podobali, byli fajni, śmiali, umieli zagadać, zabawić się. Ale teraz jakoś nie miała ochoty na ich towarzystwo, a ich okrzyki skierowane do niej nie spodobały jej się, a nawet ją wystraszyły. Poczuła się, jakby ją ktoś uderzył, zabrał coś, jakby się obudziła z jakiegoś snu. Bo zobaczyła że te spiczaste dachy są pokrzywione i z brakującymi dachówkami, że

beżowe ściany są brudne i cuchną moczem, że kot kuleje, że chodnik krzywy, a zaparkowane przy ulicy samochody są brudne, poobijane i połatane plastrem. Nawet światło z latarni jakby przygasło.

Chłopacy krzyczeli dalej. Nie czekała, aż któryś z nich wstanie, ruszyła szybko i o mało się nie przewróciła – obcas jej się wklinał pomiędzy płytki chodnika. Uwolniła nogę przy akompaniamencie ryku i śmiechu. Trzęsąc się ze złości, próbowała złożyć trzymaną w ręku kartkę, nie mogła, więc zgmiotła ją w kulę. Teraz nie mieściła się do torebki. Poirytowana chciała ją wrzucić do mijanego kubła na śmieci – kulka odbiła się od sterty wysypujących się śmieci, upadła na ulicę i potoczyła pod jakiś samochód.

Nie schyliła się po nią. Maszerując szybko, obciągnęła kusą bluzeczkę moro obszytą cekinami i strofowała się w myślach: „Głupia! Po co ci to! Jakies spacer, książki, okładki, romantyzm!”.

Ale kiedy doszła do rogu ulicy, zwolniła, zatrzymała się i wolno obejrzała się przez ramię. Popatrzyła na szare dachy i beżowe ściany. Kota już nie było i dziewczyny ze skrzypcami, rzecz jasna, też nie. Więc nie wiedzieć dlaczego siostra Łukaszka, zanim zniknęła za rogiem, uśmiechnęła się leciutko.

# ANARCHIAAA

## CZĘŚĆ 2

Świat jest wielotorowy. Gdy jedni, np. siostra Łukaszka, przeżywali duchowe rozterki nieznanne wcześniej ich plastikowej duszy, drudzy, np. Łukaszek, mieli to głęboko gdzieś, bo spali nieświadomi faktu, że dochodzi jedenasta rano.

– Łukasz! No wstawaj! – mama szarpała kołdrę. – Wakacje, a ty się opierda... lenisz! Życie ci przecieka między palcami! A taki Midam-Achnik to nawet w więzieniu ukradkiem książki pisał! No wstawaj!

– Mamo! Bądź tolerancyjna! – stęknął Łukaszek i stało się: zdenerwował mamę.

Łukaszek miał problem z obudzeniem się, bowiem do późnej nocy (a właściwie do wczesnego rana) nawalał w Mega Pink Strip Poker („To nie jest żadna krwawa rąbanka, zapewniam panią” – pani sprzedawczyni w sklepie komputerowym do mamy Łukasza). Nie wytrzymał jednak i wstał, bo na monologi mamy była tylko jedna rada – oddalić się od źródła dźwięku. Łukaszek oddał się na tyle skutecznie, że po umyciu się i śniadaniu udał się na podwórko.

Na podwórku długo nie działo się nic (Gruby Maciek siedział w domu – rodziców nie było i nawalał w Mega Pink Strip Poker), aż wreszcie Łukaszek zauważył kuzyna kontestatora. Nie bardzo chciał podejść do niego, bo pamiętał ostatnią awanturę domową, kiedy to kuzyn namówił go na bycie anarchista. Jednak wszystko było lepsze niż nuda, więc Łukaszek zastąpił drogę kuzynowi.

Kuzyn bardzo się ucieszył. W krótkiej rozmowie namówił Łukaszka na kontynuowanie edukacji anarchistycznej i zaprosił do swojego domu.

– O – zdziwił się Łukaszek. – Myślałem, że anarchiści mieszkają w składach.

– W skłotach – poprawił kuzyn kontestator. – No tak, ale... Skłot jest fajny, ale... Wiesz... Rozumiesz...

– Masz swój dom?

– Nie, ja tak tylko mówię, dom jest rodziców...

– Mieszkasz z rodzicami? – zdumienie Łukaszka nie miało granic. Bo przecież taki Batman nie mieszka z rodzicami.

– Tak, bo oni... – kuzyn kontestator jakoś nie mógł znaleźć odpowiednich słów. Na szczęście akurat znaleźli się u celu wędrówki. Bardzo elegancka willa z bardzo eleganckim wnętrzem stanowiła tak duży kontrast z wyglądem kuzyna, że uderzyło to nawet taką mało wrażliwą na takie rzeczy osobę jak ośmioletni chłopiec. Fakt jednak, że ubranie kuzyna było pierwszej jakości i najlepszej, światowej marki (prosty t-shirt, bluza z kapturem i opuszczone bojówki, No i oczywiście trampki).

Łukaszek przywitał się z elegancką, ale strasznie nerwową mamą kuzyna („Nie mamo, to nie jest żaden mały penerek, to Łukasz Hiobowski, no wiesz, od tych z bloków, nieprawda, że w blokach mieszka tylko hołota, oj daj spokój, oczywiście że niczego nie zniszczy”) i poszli do pokoju kuzyna.

Pokój był urządzony skromnie, ale ze smakiem. Tapczan, duża szafa, jakieś inne szafki – nie żadna tam Ikea, ale wszystko na zamówienie. Droga tapeta, miękki dywan, fantazyjna lampa pod sufitem. Na ścianie koło tapczanu duże lustro. Okno z piękną firaną. Na ścianie plakaty z młodym, brodatym człowiekiem w berecie. Dobry sprzęt hi-fi – Łukaszek aż zzieleniał. No i w rogu pokoju komputer – jaki wielki monitor! Łukaszek poczuł, że jednak też chce być anarchista.

Kuzyn zakrzętnął się, włączył jakąś orientálną muzykę, przyniósł z kuchni herbatę o jakimś dziwnym, mocnym smaku. Łukaszek nigdy takiej nie pił i bardzo mu smakowała. Chociaż szczerze powiedziawszy, wolałby colę z lodówki.

Kuzyn kontestator przysunął się bliżej Łukaszkowi i konspiracyjnym szeptem („Wiesz, mama nie lubi tych tematów”) zaczął go wypytywać, czy wie, co to jest graffiti.

– Te bazgroły na ścianach? – skojarzył Łukaszek. Kuzyn się spiął i zaczął krzyżeć, że to nie są żadne bazgroły. Do pokoju kuzyna zajrzała jego mama, poprosiła o ciszę.

– To nie są żadne bazgroły – powiedział szeptem kuzyn i zaczął tłumaczyć, że graffiti dzielimy na artystyczne, polityczne, kontestujące, piłkarskie i resztę.

– A napis, że to ktoś jest głupim chu... – zaczął Łukaszek, ale kuzyn mu przerwał, że to nie jest graffiti.

– A co to jest?

– Gówno! – krzyknął kuzyn. Weszła jego mama i powiedziała, że jak Łukaszek będzie dalej tak przeklinał, to pójdzie do domu.

– To nie mówiłem ja – powiedział Łukaszek. Kuzyn milczał.

– Ach tak – powiedziała elegancka mama kuzyna, która zdenerwowała się jeszcze bardziej i wyszła. Kuzyn westchnął i wrócili do komputera. Kuzyn pokazał Łukaszkowi film. Na filmie grupa zamaskowanych młodych ludzi szła przez słabo zaludniony pociąg, malowała wszystko sprejami i wybijała szyby.

– No i co o tym sądzisz? – kuzyn, któremu błyszcząły oczy, zapytał Łukaszkę. Łukaszek wzruszył ramionami i odpowiedział:

– Zwyczajna demolka.

– O nie, wcale nie zwyczajna! – zaprotestował kuzyn. I zaczął opowiadać, że był to bojowy wyczyn grupy anarchistycznej, kontestującej porządek świata... Łukaszek zrozumiał tylko jedno – kuzynowi bardzo się to podobało. Sam kuzyn, nieświadom nadciągającej katastrofy, jeszcze się pograżył, pokazując Łukaszkowi schowane w szafce farby w spreju. Kuzyn wyznał, że marzy, żeby chłopacy go zabrali na jakąś taką akcję. Tamci parę razy już byli, ale jego jakoś do tej pory nie zabrali... Ale o tym szał, bo do pokoju weszła mam kuzyna. Poprosiła go, żeby poszedł do kuchni i pomógł jej otworzyć słoik z krewetkami na kolację, na którą Łukaszkę nie zaprasza, bo Łukaszek zapewne bardzo spieszy się do domu.

Kuzyn wyszedł, a Łukaszek z prędkością błyskawicy dopadł do szafki z farbami. Po krótkim namyśle zaczął od czerwonej i od lustra. Potem po kolei: sufit, ściany, dywan, meble, komputer ze szczególnym uwzględnieniem ekranu monitora, sprzęt hi-fi, szafa i wewnątrz szafy ze szczególnym uwzględnieniem

ciuchów. Właśnie kończył ozdabiać firankę, gdy rozległ się straszny krzyk. Przy drzwiach stał kuzyn i wyglądał jak pasażer pociągu z filmu.

– Co to jest?! – spytał strasznym głosem.

– Przecież mówiłeś, że ci się podoba! – bronił się Łukaszek. Kuzyn wszedł powoli do pokoju, wodząc wzrokiem po Łukaszkowym dziele. Był wstrząśnięty. Nie zdążył nawet zrobić kilku kroków, gdy rozległ się jeszcze straszniejszy krzyk. W progu stała mama kuzyna, jeszcze bardziej zdenerwowana. W przeciwieństwie do swojego syna, szybko weszła i obejrzała cały pokój. A potem wybuchła awantura.

– Rozwydrzeni gówniarze! – darła się mama kuzyna kontestatora. – Świeżo tapetowane! Nowe meble! Markowe ciuchy! Taki drogi komputer! Wszystko zniszczone! Niczego nie uszanujecie! Bydło! Czy wam odbiło?! Czy wy wiecie, ile to kosztowało?! Ojciec sobie żyły wypruwa, czekaj, jak wróci z delegacji, to już ja mu...!

Kuzyn stał ze zwieszoną głową i słuchał w milczeniu. Łukaszek poczuł, że nie może tak tego zostawić.

– Anarchiaaaa! – wydarł się. – My się nikogo nie boimy i nikogo nie słuchamy ani taty, ani mamy! A prawdziwi anarchiści nocują w składzie, no nie? – spojrzał pytająco na kuzyna.

– W skłocie – poprawił odruchowo kuzyn.

– Wszystko jedno czy w skłocie, czy na szrocie – mama kuzyna trzęsła się ze złości. – Nie umiecie się zachować w domu, to spadajcie tam! Obaj! Natychmiast!

– Ale, mamoo... – protestował słabo kuzyn.

– Natychmiast! Ojciec wróci, to wszystko mu opowiem, może on coś zdecydować. Obaj natychmiast won z tego domu!

– Mamoo...! – kuzyn płaczkliwie wyciągnął ręce, ale ostatnie szanse na porozumienie pogrzebał Łukaszek, który kopał w szafę i ryczał:

– Anarchiaaaa!

Kuzyn spakował torbę najpotrzebniejszych rzeczy i poganiany krzykiem mamy kuzyna zostali wystawieni na ulicę.

– Słuchaj stary, czy ja mógłbym nocować u was? – zapytał nieśmiało kuzyn.

– No co ty, u nas nie ma miejsca – pozbawił go złudzeń Łukaszek. – Ale możesz na pewno nocować w składzie.

– W skłocie.

– No w skłocie. Ale to musi być fajne. Musisz pewno być zadowolony, że będziesz z innymi anarchistami. A ja już muszę lecieć – pożegnał się Łukaszek i poleciał. Osamotniony kuzyn został na środku ulicy. Nie wyglądał wcale na zadowolonego. Właściwie to płakał.

# POWIATOWY I KSZTAŁTNY

Zapanowała moda w radiach na prowadzenie poranków w dwie osoby. Zazwyczaj byli to pani i pan, wiekowi (w rozumieniu Łukaszka i Grubego Macieka), czyli koło czterdziestki, którzy mówili dźwięcznymi głosami nastolatków i cieszyli się. Cieszyli się na ogół ze wszystkiego. Jeśli długo nie było deszczu – cieszyli się, że jest słońce i można się opalać. Jeśli popadało – cieszyli się, że pada i roślinki będą rosnąć. Jeśli długo padało – cieszyli się, że nie ma tak wielkiej powodzi, jak w latach poprzednich. Generalnie można było cieszyć się ze wszystkiego, nawet z tego, że dochodzi jedenasta. A przy podawaniu wiadomości o katastrofach można było się cieszyć, że tak mało osób zginęło.

Łukaszek i Gruby Maciek nie mieli, rzecz jasna, o tym wszystkim pojęcia, ale wiedzieli jedno. Pomimo dużej ilości stacji radiowych w radioodbiorniku (kilka ogólnopolskich, kilkanaście lokalnych) wszystkie były takie same. W każdej stacji poranek prowadziła pani i pan, w każdej stacji się cieszyli, w każdej stacji podawali prawie te same wiadomości, w każdej stacji była taka sama muzyka. Jakby się wszyscy zmówili i działali według jakiegoś tajemniczego szablonu. Dlatego Łukaszek i Gruby Maciek, jak chcieli posłuchać jakiejś fajnej muzyki, to uciekali się do internetu, do stacji radiowych lub Youtube. Ostatnio oglądali z zapartym tchem – Łukaszek filmiki o kręceniu pałeczkami perkusyjnymi w palcach, a Gruby Maciek filmy typu „top 10 bassists in the world” i odkrył Johna Entwistle.

I tak świat się toczył naprzód utartymi koleinami, aż zaszedł wypadek, który zmienił (trochę, ale zawsze) życie ich osiedla, nagłówki gazet, klimat w pewnej stacji radiowej i zamieszał lekko wśród polskich celebrities (ludzi znanych z tego, że są spokrewnieni, albo że są idiotami, albo że po prostu są znani). A wszystko zaczęło się od tego, że Gruby Maciek nie mógł zainstalować jakiejś gry i wezwał na pomoc Łukaszka. I w związku z tym, że komputer odmawiał współpracy, wieształ się i trzeba go było resetować – nie było muzyki. W końcu jednak Gruby Maciek przełamał się, podszedł do wieży i nacisnął zakurzony guziczek z napisem „radio”.

I tak się złożyło, że trafili na audycję pod tytułem „PiK”. Jedna z rozgłośni radiowych poszła po rozum do głowy i w odróżnieniu od tych wszystkich szczebioczących infantylnie żeńsko-męskich (bo wtedy rośnie słuchalność!) duetów zatrudniła duet męsko-męski. Nie była to rozgłośnia kościelna, wręcz przeciwnie. Duet – to było to dwóch znanych prezenterów, którzy pracowali i w radiu i w telewizji, a i w filmie udało im się zaistnieć, aczkolwiek na tym polu publiczność ich nie doceniła. Program radiowy nazwano „PiK” – to od nazwisk: Powiatowy i Kształtny. Formuła programu też odbiegała od standardu: nie było radosnych chichotów, tylko dworowanie sobie ze wszystkiego. W teorii. W praktyce sprowadzało się to do nabijania się i obrażania innych celebrities (ale nie za bardzo, bo to i znajomi byli, i spotykać się często z nimi można było na różnych bankietach). Potem na



celownik audycja PiK wzięła polityków, urzędy i dostojników państwowych (możliwość spotkania spadała do zera) i tu duet mógł rozwinąć skrzydła. I rozwinął.

Ale i ta formuła szybko się znudziła, ludzie jednak woleli radosne szczenioty. Wobec tego wymyślono, w celu przyciągnięcia słuchaczy i wciągnięcia ich w tworzenie audycji – przyśpiewkę dnia. Zazwyczaj były to wulgarne i chamskie rymowanki, proponowane przez telefonujących słuchaczy. Jeżeli były nie dość wulgarne i chamskie, prowadzący proponowali własne.

No i kiedy Gruby Maciek włączył radio, to trafił właśnie na audycję „PiK”, a w niej na ów przyśpiewkowy konkurs.

– Co to za syf? – zapytał Gruby Maciek i chciał przełączyć. Ale Łukaszek poprosił go, żeby zostawił, bo jego siostra słucha „PiK”, uważa, że Powiatowy i Kształtny są szalowi, że audycja jest mega odlotowa i tak dalej.

– Jak twoja siostra tak uważa, to znaczy, że jest na odwrót – powiedział Gruby Maciek i zastrzegł, że nie chce obrazić ani Łukaszka, ani jego siostry, tylko mówi, jak jest. Łukaszek się nie obraził, bo o siostrze miał identyczne zdanie. Niemniej zostawili włączoną audycję, ot tak z ciekawości.

Konkurs szedł kiepsko. Słuchacze nie bardzo się starali, a czarę goryczy przelał jakiś wannabe-raper akurat z ich osiedla, którego przyśpiewka była wyjątkowo niskich lotów.

– Ja mam propozycję – rzucił nagle w eter Kształtny. I zaśpiewał:

*Hej, wasze osiedle  
Jest tak kurna biedne  
Że nikt się nie myje  
I wam śmierdzą ryje!*

– Buahaha! – wybuchnął śmiechem Powiatowy. – Ale fantastyczna przyśpiewka! No, jak nasi słuchacze będą się tak kiepsko starać, jak do tej pory, to ty wygrasz dzisiejszą nagrodę! Zaśpiewaj jeszcze raz!

I Kształtny zaśpiewał.

– Oho, mamy pierwszy telefon... – i w eterze rozbrzmiał głos słuchacza. Był oburzony, bo mieszka na tym osiedlu i nie życzy sobie, żeby go obrażali w radiu.

– Nas też obrażają – powiedział cicho Gruby Maciek. W radiu Kształtny znowu zaśpiewał przyśpiewkę, a ludzie dzwonili jak wściekli, protestowali, żądali przeprosin.

– Nie rozumiem, o co wam chodzi – tłumaczył rozbawiony Powiatowy. – My w trakcie audycji kilkanaście razy zwracamy się do siebie „śmierdziel” czy mówimy „ryj”. Dla nas to puste słowo, nie traktujemy tego jako obelgi. Nie chcieliśmy nikogo obrazić.

– Pokazujemy tylko rozmiar zacofania polskiego społeczeństwa – wtrącił Kształtny. – To przerażające, jak ludzie nie mają u nas dystansu. Bo my z Powiatowym, oczywiście, dystans mamy!

– Ja tego nie zniosę – sapnął Łukaszek. Gruby Maciek sapnął, że on też nie.

– Dawaj no telefon do tych dwóch pajaców – zakomenderował Łukaszek.  
– Dzwonię.

I zadzwonił. O dziwo prawie od razu przebił się na antenę.

– Halo, witamy kolejnego słuchacza – rzekł Powiatowy. – Następnym z pretensjami?

– Nie, chciałbym zaśpiewać przyśpiewkę – powiedział Łukaszek grubym głosem do swojej komórki, a po chwili jego głos rozległ się z głośnika. Gruby Maciek siedział w kącie, gryząc pięści z nerwów, i szeptał, że są w radiu.

– Proszę bardzo! – ucieszył się Kształty. – Śpiewaj!

I Łukaszek zaśpiewał:

*Hej, Powiatowy  
Masz sracz zamiast głowy  
A Kształtnego mama  
Rucha się po bramach*

Zapadła martwa cisza. W tle było słychać, jak Gruby Maciek ryczy ze śmiechu.

– Co to miało być? – zapytał Powiatowy. – Co to za suchar?

Łukaszek zamiast odpowiedzi zaśpiewał przyśpiewkę jeszcze raz.

– Nie no, jacyś gówniarze robią sobie żarty – zdenerwował się Kształtny.

– Wyłączamy rozmowę, przecież nie będziemy się obrażać, to jest w końcu radio, ludzie tego słuchają!

Łukaszek wyłączył telefon i kiwnął na Grubego Maćka:

– Teraz ty dzwoń.

Gruby Maciek błyskawicznie wybrał numer, przywitał się i już był w eterze.

– Ja też mam przyśpiewkę – powiedział i powtórzył produkcję Łukasza.

– To nie jest śmieszne – warknął Kształtny w radiu.

– Dystansu do siebie nie macie – zmiażdżył ich Gruby Maciek i powtórzył piosenkę, ale po drugiej linijce ktoś z radia rozłączył połączenie.

– No! – powiedział z satysfakcją Łukaszek. – Niech się pajace nauczą.

I wrócili do instalowania gry. W radiu Powiatowy i Kształtny nadal pomstowali nad chamstwem szczeniaków, gdy zadzwonił kolejny słuchacz. Z piosenką. I obaj chłopcy aż zamarli przy komputerze, bo oto z głośnika rozległo się zaśpiewane mściwym basem:

*Hej, Powiatowy  
Masz sracz zamiast głowy  
A Kształtnego mama  
Rucha się po bramach*

– Pozdrowienia z osiedla dla was, pajace, co obrażacie innych, a sami się nie pozwalacie – powiedział głos i się rozłączył.

W radiu zapanowała konsternacja. Tym bardziej że zaczęli dzwonić następni ludzie i śpiewali tę piosenkę, co niezmiernie irytowało gwiazdorski duet. Płyty z grą poszły w kącie, obaj chłopcy siedzieli przy głośnikach i z dziką radością słuchali, co się działo. Nie posłuchali długo, bo prowadzący przestali odbierać telefony. Ponarzekali jeszcze na dzieciaki, społeczeństwo, uprzedzenia, kołtunów, ogólne schamienie i skończyli audycję.

Chłopcy, oczywiście, się nie przedstawili w radiu, więc nikt nie wiedział, kto był sprawcą tego zamieszania. Jednak tego dnia pół osiedla nuciło łukaszkową przyspiewkę pod nosem (na przykład tata Łukasza, nie wiedząc nawet, że jego własny syn jest autorem!) lub wyrzaskiwało ją wieczorem, machając do taktu jablem (oczywiście, pan Sitko).

Cały incydent narobił trochę zamieszania w mediach. Portale informacyjne podały szczegółową relację, jak to prezenterzy obrazili mieszkańców osiedla, i krótko podały, że „padli ofiarą tego, co sami sprowokowali”. Radio wystosowało komunikat przepaszający i na tym sprawa się oficjalnie zakończyła. Prezenterzy potwierdzili, że nie chcieli nikogo obrazić i prowadzili program dalej. Słupek słuchalności audycji „PiK” poszedł w górę, co dla prowadzących było miłe, natomiast mniej miłe było – jak donosiły serwisy plotkarskie – że inne celebrities nabijały się niemiłosiernie z duetu gwiazd, że tak sobie dali pojechać dzieciakom. Przyspiewka Łukasza krążyła długo po osiedlu, trochę po internecie, a nawet jeszcze jakiś czas wśród celebrities – do czasu następnego wydarzenia, jakim były narodziny siedemnastego dziecka dziewiątej żony Wichąła-Miśniewskiego.

# WIZYTA W MUZEUM

## CZĘŚĆ 1

O destrukcyjnej potędze Łukasza nieraz przekonała się jego rodzina (ostatnio, i to bardzo boleśnie, kuzyn kontestator). Niemniej zasięg jego działań ograniczał się zazwyczaj do macierzystego osiedla. Co innego duet z Grubym Maćkiem. O ich wyczynach potrafiło mówić całe miasto, co prawda, nie znając prawdziwych sprawców kataklizmów.

Jednak najbardziej niebezpieczny był duet Łukaszek-dziadek. Z racji wakacji byli oni poza kontrolą rodziców Łukasza, którzy w tym czasie pracowali. Była jeszcze siostra Łukasza, ale, jak to powiedziała babcia: „miła to dziewczyna i ma ładną buzię, ale do zbierania stonki by się nie nadała”. Zatem pieczę nad duetem Łukaszek-dziadek powierzono babci.

Lipiec minął bez większych zadym, ale w sierpniu obu panom udało się wywołać awanturę na skalę międzynarodową. Wszystko zaczęło się od tego, że na weekend przyjechała kuzynka z Warszawy. Łukaszek został uprzedzony, że kuzynka i babcia – delikatnie mówiąc – nie przepadają za sobą.

Przyjechała, przywitała się, posiedziała chwilę i zapytała neutralnie babcię, jaką czyta książkę.

– „Studziarki”, codziennie jeden rozdział, który zgadza się z aktualną datą – wyjaśniła babcia.

– Tfu, Przymanowski! – krzyknęła kuzynka i się przeżegnała.

– A jak byłyśmy razem w ZMP, to się przecież kochałaś w Janku – wbiła szpilę babcia.

– Nie w Janku! – kuzynka poczerwieniała z irytacji. – W Tomku Czereśniaku!

– Litości... – dziadek zasłonił twarz egzemplarzem „Prawdziwej Ojczyzny”.

– O! – ucieszyła się kuzynka. – Ktoś czyta w tym domu prawdziwie polską prasę! A co ty czytasz, kawalerze? – zapytała Łukasza, który akurat przechodził korytarzem. Wezwany stanął przed kuzynką i, przeklinając w myślach pech, szukał gorączkowo odpowiedzi.

– E... No... To co wszyscy... To znaczy... Bajki! – wypalił szczęśliwy.

– Bajki – pokiwała głową kuzynka. – Już ja wiem, jak to dzieci w tym wieku wszystko chłoną, ich umysły są jak gąbka i kształtują się nowe kadry...

– Lenin! – odezwała się babcia zza książki. Kuzynka zamilkła na chwilę, zła, po czym kontynuowała:

– Już cię trzeba w tym wieku uświadamiać politycznie, ja w twoim wieku...

– ...wstąpiłam do partii...

Znów zapadło złowrogie milczenie. Łukaszek miał wielką ochotę uciec.

– Dzieci w twoim wieku nosiły granaty w chlebakach! – walnęła z grubej rury kuzynka.

– Jakie dzieci? – zdenerwował się dziadek.

– Co to jest chlebak? – zapytał Łukaszek.

Kuzynka wyjaśniła, że chodziło jej o małych powstańców warszawskich.

– Uczciliście chyba godzinę siedemnastą pierwszego sierpnia? Zawyły syreny? – pytała groźnie kuzynka.

– Co mieliśmy uczcić, zbiorowe samobójstwo młodzieży i zagładę miasta z powodu fanaberii londyńczyków? – powiedziała babcia i pobiła się z kuzynką.

– Ty bolszewio! – piszcząca kuzynka, usiłując chwycić babcię za włosy. – Staliście na drugim brzegu z karabinem u nogi!

– No, no, no! – hamowała ją babcia. – Nie mów tak, bo mnie tam nie było! I nie wyzywaj mnie od bolszewii, bo bardzo dobrze pamiętam, z kim chodziłam na miasto pierwszego maja i dwudziestego drugiego lipca!

Dziadek delikatnie dał do zrozumienia (i to wbrew swoim przekonaniom, ale czego się nie robi, żeby uspokoić kobietę...), że to sprawa z przeszłości i nie trzeba się tak gorączkować.

– No jak to?! – wykrzyknęła kuzynka i poinformowała zgromadzonych, że przecież dzięki powstańcom warszawskim mamy Solidarność, wolność (no powiedzmy quasi-wolność...), że to im zawdzięczamy Polskę i niepodległość... Oni nam... My z nich... Krew, kość... Cześć pamięci...

– Czesi i Słowacy nie popełnili takiego szaleństwa i też mieli niepodległość... Oczywiście, w ramach układu – powiedziała babcia i znów musiała się bronić przed kuzynką.

Dziadek i Łukaszek spojrzeli na siebie i bezradnie wzruszyli ramionami. Kuzynka trochę się uspokoiła, usiadła i wyjaśniła, że przyjechała zobaczyć filię Muzeum Powstania Warszawskiego.

– Że co? – zdumiał się dziadek, ale zanim kuzynka zdążyła się znowu zdenerwować, przypomniał sobie, że rzeczywiście coś nowego otworzyli. Tylko, że to się nazywało MPP...

– MTP? Międzynarodowe Targi Poznańskie? – nie rozumiała babcia.

– Jakie Targi, kobieto! Nie, MPP...

– Może Muzeum Powstania Polskiego? – zastanawiała się kuzynka, ale machnęła zaraz ręką – Nieważne. Mam nadzieję, że przejdziecie się tam ze mną.

– Tak – powiedział, poczuwając się do obowiązków gospodarza, dziadek.

– Nie – powiedział Łukaszek, który, prawdę powiedziawszy, bał się trochę kuzynki. Ale spojrzął na dziadka, zrozumiał i poprawił. – Nie ma sprawy. Tak.

– Miałam was pilnować – przypomniała babcia i powiedziała, że też idzie. Kuzynce nie bardzo się to podobało, więc zaproponowała, że ona pójdzie już teraz obejrzeć miasto, a spotkają się...

– Powiedzmy: pod pomnikiem Piłsudskiego! – zaproponowała kuzynka. Dziadek poinformował ją, że w Poznaniu nie ma pomnika Piłsudskiego.

– Jak to? Naczelnika Państwa? – oburzyła się kuzynka.

– A zrobił on cokolwiek dobrego dla Wielkopolski? Jego interesowały kresy, dla niego Poznań to były Niemcy – zaczął dziadek, ale przerwał mu Łukaszek, pytając, kto to był Piłsudski.

– Faszysta – powiedziała babcia z błyskiem w oku.

– Mąż stanu – odparła kuzynka w uniesieniu.

– Nic nie rozumiem – poskarżył się Łukaszek.

– Nie ty jeden, chłopie, nie ty jeden... – westchnął dziadek.

# WIZYTA W MUZEUM

## CZĘŚĆ 2

Zgodnie z planem spotkali się na mieście. Z jednej strony przyjechali Łukaszek z babcią i dziadkiem, z drugiej przyszła kuzynka z Warszawy. Spotkali się przy jednej z głównych ulic miasta, przed budynkiem, który w zamierzeniach miał być wielkim hotelem dla gości na Euro 2012 (które, jak pamiętamy, władze piłkarskie przeniosły w 2011 roku do Włoch). Hotel został więc w błyskawicznym tempie poddany przeróbkom i niedawno otwarty, a mieściło się w nim tajemnicze MPP.

– Ładnie tu u was, w Poznaniu, tylko czemu tak trawniki niszczą? – kuzynka pokazała ekipę robotników masakrujących pas zieleni pomiędzy jezdniami.

– Y... To nie trawnik... – wybąkał dziadek.

– Przecież widzę.

– To znaczy... Bo był u nas premier Schegorz-Grzetyna z gospodarską wizytą... Uczestniczyć w otwarciu nowego przejścia podziemnego... I żeby tak goło nie było, to... żyto wysiali...

– Prawie jak Gierek – zachichotała babcia.

– I teraz... Jak już pojechał, to... trawę... – płatał się dziadek. Kuzynka przerwała mu machnięciem ręki i zapytała, czy to już tu.

– Tu – powiedział dziadek i pokazał wielki budynek, z wielkim napisem, składającym się ze złotych liter przytwierdzonych do fasady z najlepszego, włoskiego marmuru. – Muzeum Porażek Polskich – odczytał napis.

– Ja chyba śnię – przeżegnała się kuzynka. – Co to za antychrysty to tutaj ustawiły?

– Z Warszawy – dziadek nie mógł sobie darować złośliwości. – Przecież to filia tego, co się u was wyrabia.

– To jakaś prowokacja! – uniosła się gniewem babcia. – Jak tak można? Czcić własne porażki? Czego my uczymy własne dzieci? A... – i wtedy wszyscy zdali sobie sprawę, że nie ma Łukaszkę. Rozejrzeli się szybko i struchleli. Łukaszek stał na skraju dwupasmowej jezdni i najwyraźniej wypatrywał luki pomiędzy samochodami, aby przebiec na drugą stronę. Nagle poczuł jak ktoś łapie go za kołnierz.

– Ha! tuś mi, huncwocie! – dyszał dziadek. – W ostatniej chwili cię złapałem! A dokąd to się wybieramy?

Łukaszek pokazał stojącą po drugiej stronie jezdni budkę z napisem „zapiékanki”.

– No wiesz! – oburzyła się kuzynka. – My idziemy do muzeum, historię podziwiać, a tobie zapiékanki w głowie.

– Nudna jest ta wasza historia – skarżył się Łukaszek, holowany za obie ręce do wejścia.

– Zobaczysz... Ciekawe rzeczy... o powstaniu... – sapał dziadek ciągnąc wnuka.

– Co to jest powstanie? – zapytał Łukaszek.

– Powstanie jest wtedy, gdy grupa niewinnych, prześladowanych ludzi buntuje się przeciwko wrogowi – wyjaśniła kuzynka.

– O! To jak my w szkole i nasza wychowawczyni! – skojarzył Łukaszek.

– Ona jest okropna, naprawdę!

– Nie drzyj się tak, bo kombatantów przestraszysz – dziadek wskazał grupę starszuch wysiadających z dychawicznego ikarusa na parkingu pod muzeum. Stało tam zresztą wiele innych aut, ale najwięcej było mercedesów. Na rejestracjach niemieckich i rosyjskich.

– Kto to jest kombatant? – Łukaszek bezskutecznie próbował wyrwać się kuzynce, ale ta tylko zacieśniła uchwyt i wyjaśniła, że to ktoś, kto walczył całe życie.

– To jak pan Sitko! On walczy całe życie, tak mówi pani Sitko.

– Bzdura! – zdenerwował się dziadek. – Pan Sitko nie jest kombatantem, tylko, powiedzmy to sobie szczerze, żulem.

– A czym to się różni?

– Kombatant walczył z wrogiem, a pan Sitko walczy z nałogiem – objaśnił dziadek. Razem z kuzynką doholowali Łukasza do wejścia i wtedy zorientowali się, że tym razem nie ma babci. Babcia stała na parkingu i oświadczyła, że jej noga w tym czymś nie postanie.

– PRL, jaki był, taki był, ale wtedy zbudowanie czegoś takiego byłoby nie do pomyślenia – powiedziała babcia i, trzęsąc się ze złości, pokazała palcem budynek. – To obraża cały naród!

– Zabawne, jak komunista mówi o narodzie – powiedziała cicho kuzynka.

– To dokąd pójdziesz? – zaniepokoił się dziadek.

Babcia wyjaśniła, że przy wejściu, schowana za śmietnikiem była maleńka tabliczka z napisem „do muzeum polskich zwycięstw”. I ona idzie zobaczyć tamto muzeum. I poszła.

– No dobrze, to my zwiedzimy to – powiedziała kuzynka zdecydowanym tonem i załapała Łukasza za ramiona. – No, młody człowieku, czas na odrobinę historii.

I weszli.

# WIZYTA W MUZEUM

## CZĘŚĆ 3

Wnętrze Muzeum Porażek Polskich prezentowało się imponująco. Marmury, klinkiery, klimatyzacja. Napisy w wielu językach, przewodnicy. Muzeum można było zwiedzać jedynie w zorganizowanych grupach z przewodnikiem. Akurat dochodziła okrągła godzina, przewodnik już zwoływał chętnych do zwiedzania, zatem Łukaszek z dziadkiem i kuzynką z Warszawy wmieszali się w wielojęzyczny tłum.

– Witam państwa serdecznie w Muzeum Porażek Polskich – powiedziała pani przewodnik w czterech językach: po polsku, niemiecku, rosyjsku i angielsku. – Jest to poznańska filia, w Warszawie jest muzeum główne, o wiele większe i bogatsze od naszego. Ale my też mamy się czym pochwalić!

– Litości! – załamał się dziadek – Niech pani nie używa słowa „pochwalić się” w zestawieniu z polskimi porażkami!

– Pan da spokój – uśmiechnęła się pobłaźliwie pani przewodnik. – Dużo zwiedzających na początku tak mówi, ale potem jednak widzą, że porażki to znaczna część polskiej historii! Co, mamy własną historię cenzurować, wycinać? Trzeba przełamywać tabu i mówić o pewnych rzeczach otwarcie! A taki temat nie jest niczym złym, na zachodzie podobne kwestie są już podejmowane od dawna, prawda? – zapytała zwiedzających. Jeden stary pan kiwnął głową i łamaną polszczyzną powiedziała:

– Aber ja, u nas w muzeum w Luegendorf często wystawiają wystawę o Polnische poraszken. I ta wystawa jest bardzo popular.

Niemieckojęzyczna część zwiedzających zarechotała. Kuzynka z Warszawy poczerwieniała z gniewu.

Wystawa była olbrzymia. Rzeczywiście pokazywała duży przekrój polskiej historii.

Pierwsza część, pod tytułem „Nie wstydzmy się naszej historii”. Między innymi: biskup Stanisław ze Szczepanowa. Rozbicie dzielnicowe. Bitwa pod Warną 1444. Potop szwedzki – ale tylko pierwsza faza. Rządy Sasów. Liberum veto. Targowica. Rozbiory. Samosierra, włącznie z listą poległych. Powstanie listopadowe. Rzeź galicyjska. Powstanie styczniowe.

Druga część znajdowała się w następnym skrzydle budynku i nosiła hasło „Kury wam szczać prowadzać”. Zaczynała się od Pierwszego Powstania Śląskiego. Drugiego i trzeciego nie było. Wyprawa na Kijów. Zabójstwo Narutowicza. Cytaty z polskiego sejmu. Ofiary zamachu majowego. Bereza Kartuska. Zatargi graniczne z Czechosłowacją.

Część trzecia nosiła niedokończone motto Bismarcka: „Dajcie Polakom rządzić...”. I zaczynała się od ataku na radio Gliwice. Potem była szarża konna na czołgi. Zaleszczyki. Uciekający Niemcy w 1944 i 1945. Akcja „Wisła”. Interwencja w Czechosłowacji w 1968. Panel zatytułowany „Za garść srebr-



ników...” z wystawionymi zobowiązaniami współpracy z SB znanych osób (podano informacje, co podpisujący zyskał – a to paszport, a to prawo jazdy).

Część czwarta, imienia Jana Grodeusza-Tassa, nosiła tytuł wzięty z odezwy kongresmenów USA wzywających Polskę do zapłacenia odszkodowań wojennych Żydom (ostatnio nawet Fidżi zapłaciło gigantyczne odszkodowania za to, że w czasie drugiej wojny światowej nie ratowało Żydów). Getta ławkowe. Jedwabne. Pogrom kielecki. Transparenty kibiców na meczach.

Po przejściu tych wszystkich ekspozycji zagraniczna część wycieczki była przyjaźnie zaintrygowana. Nieliczni Polacy, w tym dziadek i kuzynka byli bardzo źli. Łukaszek nudził się i nic z tego nie rozumiał.

– Co to jest? Co to ma być? – denerwował się dziadek. – Pieniądzy na emerytury nie ma, a kasa na takie coś to jest? Ile to kosztowało? Jaki to będzie mieć wpływ na młode pokolenia?

– Spokojnie, pieniądze dała Unia Europejska – poinformowała dziadka pani przewodnik.

– A nie można było zrobić muzeum z polskimi zwycięstwami?

– Nie, bo to byłby nacjonalizm i szowinizm – pouczyła pani przewodnik. – Poza tym Unia Europejska powiedziała w imieniu swoim i innych sponsorów, że albo muzeum porażek albo nic. No to co, lepiej tak, niż żeby młodzież w ogóle nie uczyła się historii.

– Pani powiedziała: innych sponsorów...

– A tak, bo w ramach zacieśniania stosunków polsko-niemieckich część pieniędzy na to muzeum dał niemiecki Związek Przepędzonych. Dużo pieniędzy dali...

# WIZYTA W MUZEUM

## CZĘŚĆ 4

Piąta część muzeum przeznaczona była pod ekspozycję tematyczną. Aktualnie było Powstanie Warszawskie.

– No – zatarła ręce kuzynka z Warszawy. – To teraz pokażemy tym wszystkim zza Odry i zza Buga. Przecież Powstanie Warszawskie to jedna z najjaśniejszych kart polskiej historii! Tylu poległych, takie ideały! Coś pięknego!

Na specjalnych planszach umieszczono fotografie z Powstania i opisy w wielu językach. Pani przewodnik, trochę czytając, trochę mówiąc z głowy, przypomniała rys historyczny Powstania. Dziadek i kuzynka spojrzeli na dwie, wielkie puste plansze zatytułowane „osiągnięte cele militarne Powstania” i „osiągnięte cele polityczne Powstania”. Następne dwie plansze były za to pełne. Były to „zabici w Powstaniu” i „straty materialne Powstania”. I nie wiadomo jak długo trwałby ten nastrój przygnębienia i apatii, gdyby nie niezawodny w wywoływaniu draki Łukaszek.

Stanął przed wielką fotografią czołgu z czarnym krzyżem forsującego barykadę i wydawał ustami odgłosy strzałów. Na chwilę przerwał, otarł rękawem odświętnego sweterka ślinę z buzi i zapytał:

– Dziadku, a kto tu się bije?  
– Polacy – odpowiedział dziadek, pokazując palcem drobne figurki dzieci biegnących z pistoletami w garści na czołg.

– A z kim się bili?  
– Z Niemcami.  
– No wie pan! Tak okłamywać dziecko! – oburzyła się pani przewodnik.  
– To nie byli Niemcy, to byli naziści!

– A skąd są naziści? – drażył Łukaszek. Wycieczka zamarła, awantura wisiła w powietrzu.

– Z Niemiec – rzekł z satysfakcją dziadek. Paru niemieckojęzycznych turystów się oburzyło.

– Das ist eine kłamstfo! Fuehr... Ten wstrętny Hitler był ein Austriak!  
– Panowie darują, ale Trzecia Rzesza była krajem niemieckim... – przypomniał wszystkim dziadek Łukaszką. Niemieckojęzyczni turyści przycichli, ale któryś jeszcze szurał, że może kiedyś w Niemczech mogło być paru nazistów (generalnie to byli to porządni ludzie, omamieni przez tego wstrętnego Hitlera), ale teraz na pewno ich nie ma.

– A kto ma większość w Brandenburgii w parlamencie? – strzeliła celnie kuzynka z Warszawy.

Zapadła cisza, którą przerwał Łukaszek, nadal pilnie studiujący zdjęcie.

– A gdzie są nasze czołgi?  
– Nie mieliśmy czołgów – wyjaśniła pani przewodnik. Łukaszek popatrzył na nią jak na idiotkę.

– Jak to? Oni mieli czołgi, a my nie? To może mieliśmy te, no... – zamyslił się. – Pencertence.

– Jemu chodzi o pancerfausty – objaśnił dziadek Łukaszka.

– Sporadycznie – rzekła pani przewodnik. – W przeważającej mierze powstańcy dysponowali bronią ręczną, zdobywaną na wrogu.

– Jak to na wrogu? – zdumiał się Łukaszek. – To zanim zdobyli broń, to jak walczyli?

– No... e... – pani przewodnik nie potrafiła udzielić ośmiolatkowi odpowiedzi, która wydawała się raczej oczywista. – No coś tam mieli schowane, ale było tego mało i nie starczało dla każdego...

– Ale za to... – odezwała się zduszonym głosem kuzynka z Warszawy, która miała łzy w oczach. Właśnie wróciła z głębi sali, gdzie czytała rozwieszone na planszach wypowiedzi dowódców AK i władz londyńskich o nietrafności momentu wybuchu Powstania i że w ogóle nie był to najlepszy pomysł. – Ale za to mieliśmy więcej gazetek od Niemców!

– Was ist das: gazetki? Eine Waffe? – zainteresowała się niemieckojęzyczna część wycieczki. Kiedy pani przewodnik wyjaśniła, że chodzi o powstańczą prasę, wycieczkowicze zaczęli pękać ze śmiechu.

– Gazetkenwaffe! Wunderbar!

A któryś dowcipniejszy rymował:

– Zehn Polen mit zwei Pistolen!

– Jak możecie się śmiać! Barbarzyńcy! – huknęła kuzynka. – Tam ludzie poginęli! Młodzież, dzieci, cywile! Kwiat narodu!

– A czy nasi wygrali? Nasi wygrali? – dopytywał się Łukaszek.

– Nasi to szli z Berlingiem i Armią Czerwoną, i byli jeszcze daleko – ośmielił się odezwać pierwszy polski kombatant.

– Ha! Dwa kłamstwa w jednym zdaniu, to tylko komusze pomioty Jeżowa i Berii tak potrafią! – oburzył się drugi polski kombatant. – Po pierwsze, to nie „nasi”, bo nasi byli w Warszawie lub pod Monte Cassino, po drugie, nie szli, tylko stali po drugiej stronie Wisły i biernie się przyglądali!

– Powtórz to, londyński piesku! – i obaj kombatanci zaczęli się okładać kulami aż trzaskało.

– Proszę przejść do dalszej części ekspozycji – zachęcała pani przewodnik.

# WIZYTA W MUZEUM

## CZĘŚĆ 5, OSTATNIA

Po przejściu do następnej części wystawy o Powstaniu Warszawskim grupa zwiedzających, w której był Łukaszek, zmieszła się z grupą turystów z Rosji. Oglądali oni zdjęcia z Powstania i nie mogli się nadziwić, że Polacy liczyli na pomoc Armii Czerwonej.

– To ewentualnie Polacy mieli pomagać nam, a nie na odwrót – instruował wycieczkę rosyjski przewodnik (mieli swojego).

– Ech, ci Polacy – powiedziała niemieckojęzyczna część wycieczki i przywitała się z częścią rosyjskojęzyczną.

– Oni zawsze razem – sapnął pierwszy polski kombatant.

– Jak to jest, że raz wygrywa Niemiec, raz wygrywa Rusek, a i tak mają najlepiej, a my najgorzej... – zastanawiał się drugi polski kombatant.

– Tu jesteście! – rozległ się głos za ich plecami. To była babcia, która niespodziewanie do nich dołączyła. – Zamiast tykać tą trucizną, chodźcie zobaczyć coś optymistycznego!

– A co? – zainteresowała się cała wycieczka. Babcia wyjaśniła, że chodzi jej o Muzeum Polskich Zwycięstw.

– Byliśmy już tam – podniosły się głosy. – Nudy. Jakiś mały, ciasny barak, nie to co tu. I tylko jedna wystawa. Powstanie Wielkopolskie. Do kitu. Nie działo się w Warszawie. Nie ma zdjęć trupów. Nie ma zdjęć czołgów. Nie było tysięcy pięćset dwudziestu ośmiu gazetek powstańczych. Nie było „visy na tygrysy” ani kibitek na Sybir. Nie zginął Krzysztof Kamil Baczyński. W ogóle mało ludzi zginęło. I po stronie polskiej nie walczyły dzieci, tylko wojsko. I Niemcy tak się łatwo poddawali, bo wiadomo, Wielkopolanie to prawie Niemcy, nie będzie swój swojego bił. I Armia Czerwona nie stała na brzegu. I w ogóle to powstanie jakieś takie niepolskie. Tak się jakoś sprawnie zorganizowali i wygrali. Tradycję w narodzie złamali.

– Wygrali? Nasi wygrali? – dopytywał się gorączkowo Łukaszek. A gdy dziadek potwierdził, to rozdarł się na całe gardło: – Polska! Biało-czerwoni!



– Proszę mi tutaj nie uprawiać żadnej propagandy! – piszczła czerwona ze złości pani przewodnik przy milczącej aprobacie wycieczki.

– A, chodźcie stąd – dziadek Łukaszka, nie bacząc na protesty kuzynki z Warszawy, wyciągnął ją, babcię i wnuka z ogromnego gmachu MPP. – Do dupy z takim muzeum! A teraz idziemy zobaczyć to Muzeum Polskich Zwycięstw.

Było takie, jak mówili: mały, zaprzyjały barak, ustawiony wstydliwie w rogu placu. Wewnątrz zaledwie parę eksponatów i krótki opis Powstania Wielkopolskiego, więc dziadek musiał im wszystko mówić z pamięci. Ale to wystarczyło, by wracali do domu kilka centymetrów wyżsi.

– Widzicie? – mówił dziadek. – Polak, jak chce, to potrafi wygrać. I pamiętajmy, że teraz jesteśmy u siebie, rządzymy tym krajem, musimy pamiętać o zwycięstwach, o przeszłości, bo to jest najważniejsze, tylko to się liczy – historia, zwycięstwa, nasza tożsamość, duma narodowa, my dzięki temu...

Słowa dziadka rwały się i ginęły w ulicznym szumie. Z rykiem silników mijały ich setki starych samochodów produkcji niemieckiej, jeżdżących z polskimi tablicami rejestracyjnymi na rosyjskiej benzynie.

## SPIS TREŚCI

1. Człowiek krokodyl .....	4
2. Pani redaktor od aborcji .....	5
3. Wypracowanie .....	7
4. Wycieczka do tarczy .....	9
5. Tata Łukasza na tropie agenta, część 1 .....	11
6. Niedoszli mordercy .....	12
7. Tata Łukasza na tropie agenta, część 2 .....	13
8. Akwizytor .....	15
9. Proste pytanie .....	16
10. Tata Łukasza na tropie agenta, część 3, ostatnia .....	17
11. Nasze nazwisko jest w śledztwie paliwowym! .....	20
12. Instrukcja .....	21
13. (Prawie) każdy kij ma dwa końce .....	22
14. Obiad i seks .....	23
15. Halina .....	25
16. Ciotka artystka, część 1 .....	26
17. Przeprosiny posła .....	28
18. Quad, boom, bang .....	29
19. Ciotka artystka, część 2 .....	31
20. Dzieci wszystko słyszą .....	33
21. Ulotki .....	34
22. Pensetokrata .....	35
23. Bojkot solarium .....	37
24. Ciotka artystka, część 3, ostatnia .....	39
25. Reforma KRUS .....	41
26. Dziadek jest zgorszony .....	42
27. Genisław-Broremek patronem szkoły .....	44
28. Notatka w gazecie .....	46
29. Anarchiaaa, część 1 .....	49
30. Klapsy .....	51
31. Szczepionka .....	53
32. Demonstracja w szpitalu .....	55
33. Biedne, małe, chińskie dzieci, część 1 .....	57
34. Biedne, małe, chińskie dzieci, część 2 .....	59
35. Biedne, małe, chińskie dzieci, część 3, ostatnia .....	61
36. O wojsku .....	64
37. Chwila romantyzmu .....	66
38. Anarchiaaa, część 2 .....	69
39. Powiatowy i Kształtny .....	72
40. Wizyta w muzeum, część 1 .....	76
41. Wizyta w muzeum, część 2 .....	78
42. Wizyta w muzeum, część 3 .....	80
43. Wizyta w muzeum, część 4 .....	82
44. Wizyta w muzeum, część 5, ostatnia .....	84